KAZIMIERZ PAPÉE
PIUS XII A POLSKA
1939 — 1949
(PRZEMÓWIENIA, LISTY, KOMENTARZE)
Stron 178. CENA 17/6
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh -

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK IX. Nr 26 (418)

NIEDZIELA, 26 CZERWCA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

HISTORIA O ZNANYM ZAKOŃCZENIU

Pełna niebezpiecznych pokus jest ludzka inklinacja do konfrontowania historii ze współczesnością, zestawiania analogii i wyciągania z nich wniosków oraz przepowiedni. Niebezpieczeństwo tkwi w niepowtarzalności dokładnego układu dwóch sytuacji historycznych. Stąd łatwo o pomyłkę w uleganiu łudzącemu podobieństwu.

Inklinacja jest jednak bardzo wyraźna i namawia człowieka do coraz to nowych prób konfrontacji. Pochodzi to nie tylko z chęci odszyfrowywania znaczenia dziejących się wypadków, ale i z czegoś jeszcze ponadto. Usiłując odcyfrować znaczenie współczesności przy pomocy analogii historycznych, człowiek łudzi się, iż przy tym swoim zajęciu tym razem już na pewno ustrzeże się błędu gubienia się w szczegółach sytuacji, a wychwyta spomiędzy faktów powierzchni zdarzeń samą ich istotę, sam rdzeń dziejących się spraw. Że uda mu się zastosować niejako algebrę historii, gdzie znaki umowne będą wyrażały jedynie główne pojęcia, a nie drobiazgowe szczegóły. Bardzo rzadko taka ambicja się spełnia, ale trzeba przyznać, że niekiedy ma szczególnie korzystną koniunkturę, aby się stać rzeczywistością. Jeśli zaś kiedy, to przede wszystkim w takich wypadkach, jak obecny casus argentyński. W numerze następnym naszego pisma dział informacji przyniesie dalsze szczegóły o rozwijającej się walce religijnej w Argentynie. Ale sprawa z różnych koniunkturalnych przyczyn jest tak osobliwie charakterystyczna, iż kusi i porywa do powiedzenia kilku uwag ogólniejszej natury na marginesie błyskawicznie w tej chwili rozwijającej się sytuacji.

Gdy mniej więcej przed tygodniem otwierało się poranny dziennik (był to ten dzień, kiedy dyktator Argentyny powiedział do swych adherentów: czekajcie mego rozkazu, a ja wam pokażę, dokąd was zaprowadzić potrafię) — ogarniało wrażenie rozpoczynania dość tandetnej, rozrywkowej książki, w której od pierwszych kartek wie się dokładnie, co będzie na ostatnich. Właściwie gdzieś niedawno czytało się już podobne „thrillery" i niechęć ogarnia na myśl, że oto jeszcze jeden, do znudzenia podobny, trzeba będzie ścierpieć przed zmuszonymi do czytania oczyma. Ogarnia przy tym zdumienie, że znalazł się autor, który nie wstydzi się podejmować raz jeszcze ograny do szczętu temat.

Czytając w porannych dziennikach nowe depesze o ostatnich wyczynach Perona, odnosi się dalej wrażenie, iż kazano nam patrzeć z bardzo daleka na rozgrywającą się historię, na której przebieg nie można mieć wpływu, ale której istotną treść tym dokładniej się rozumie. Serce ściska się na myśl o jeszcze jednym źródle cierpień i katuszy, jakie spadają na Kościół i Jego sługi (jakby tych cierpień nie było dosyć i bez Perona), ale istniejący dystans przestrzeni pozwala oceniać i widzieć główny sens wypadków z krystalicznie czystą wyrazistością.

Oto wysunął się z drobnej miazgi zdarzeń południowej części kontynentu amerykańskiego człowiek opętany szaleństwem i leci łukiem pozornego wzrostu siły ku nieuchronnej katastrofie. W tej przepowiedni nie można się omylić. Nie tylko dlatego, że ta walka z Kościołem nie może być wygrana na dłuższym dystansie czasu, jak nie może być żadna, ale i dlatego, że skala tej walki — po ludzku już tylko rzecz sądząc — jest wymiarów miniaturowych. Byliśmy niedawno i jesteśmy świadkami walki z Bogiem, walki w pogańskiej koncepcji Hitlera i w ateistycznej koncepcji komunizmu. Jedna przegrała do szczętu, druga jest w przededniu przegrania, mimo, że — przy całej swej obrzydliwości i zaślepieniu — obie miały skalę zmagań olbrzymich.

W rozpętaniu prześladowań religijnych Perona nie można doszukać się nawet pozornie logicznych przesłanek. Co to jest? Wielka koncepcja ateistyczna? Zryw zbuntowanego Lucyfera, który podniósł się do sporu ze Stwórcą o wyimaginowane szczęście człowieka? Konflikt z duchowieństwem? Ale przecież do niedawna Kościół w Argentynie popierał dobre strony reform społecznych Perona.

Prasa północnej Ameryki donosi, że istotną przyczyną rozpętanych prześladowań religijnych jest chęć Perona odwrócenia uwagi społeczeństwa od klęsk społecznych, od następstw nieudanych eksperymentów reformistycznych ku innym pragnieniom. Peron podnosi straszaka, aby odwrócić uwagę od katastrofy, którą sam spowodował. Korespondenci piszą wprost, że katolicy mają odegrać w dyktatorialnym systemie argentyńskim tę samą rolę, którą odegrali Żydzi w systemie hitlerowskim. Na katolików chce Peron zrzucić odpowiedzialność za wszystkie swoje błędy i pomyłki.

Rzecz sięga głębiej, a casus argentyński może być uważany za laboratoryjny preparat współczesnych prób wyprowadzania społeczeństw z chaosu. Początkowe intencje Perona wypływały niewątpliwie z zamierzeń podniesienia własnego kraju ze stanu zacofania, biedy i rozstroju społeczno - gospodarczego. Były również intencje wyrównania zbyt krańcowych różnic majątkowych i zarobkowych między poszczególnymi grupami społecznymi. Tylko że w tych słusznych zamiarach poszedł on drogą dyktatury, która — jak się coraz wyraźniej uwidacznia — przy najlepszych nawet początkowych intencjach z a w s z e musi zawieść. To przekleństwo tkwi w samej naturze dyktatury.

W jej konieczności uchodzenia za magiczny, uniwersalny środek na wszystkie niedostatki — dyktator musi przeciwstawiać siebie, jako człowieka wyjątkowego i wybranego, niemal półboga, musi wmawiać w ludzi, że jego wyjątkowość zasadza się na tym, iż ma w rękach czarodziejski talizman, który glinę zamienia w złoto. To pierwszy etap. Później przychodzi konieczność ukazywania co jakiś czas choć części tego alchemickiego złota, czyli demonstrowania sukcesów. Tolerujące dyktatora społeczeństwo płaci ciężkimi wyrzeczeniami i chce widzieć ich dostrzegalne skutki. Dyktatura musi więc iść w sposób widowiskowy od sukcesu do sukcesu. A w końcu zaczyna się wkradać pokusa uzasadnienia przed samym sobą swej wyjątkowości i wybraństwa: dyktator chce całość programu wypełnić w obrębie swego życia. Jednego życia. Powstaje błędne koło egotycznych przyczyn i skutków; pierwotne idealistyczne założenia gubią się gdzieś bezpowrotnie, a zjawia się pośpiech, który kręci coraz szybciej tę diabelską karuzelę pychy i nieszczęścia.

Nie było sztuką dokonać rozeznania; świat istotnie potrzebuje reform i nowych układów społecznych. Tylko, że nie tą drogą jest to do osiągnięcia. Nie ma talizmanów magicznie leczących świat. Jedyny talizman leży w rękach samych społeczeństw: myśl rozeznaje sytuację, ustala drogi naprawy i przywołuje dla ich odmierzania kryteria, które dotąd budowały i naprawiały cywilizację chrześcijańską. A dopiero potem zaczyna się d ł u g i okres (kilku, może kilkunastu pokoleń?) pięcia się w górę, przy wysiłku — wszystkich.

Trzeba widzieć, z jaką radością na to ponure widowisko Perona patrzą komuniści. Prasa komunistyczna pełna jest tryumfalnych artykułów i zacierania rąk. Nie mógł im ten konflikt przyjść w dogodniejszą porę, kiedy to rozpoczęli czynić wszystko, aby się wybielić za przelewaną krew i terror. Mówicie, że to ustrój komunistyczny prześladuje religię i Kościół, że aresztuje księży i inwigiluje kościoły? Ależ patrzcie, obłudnicy, to spośród was, z samego środka waszej chrześcijańskiej cywilizacji wychyla głowę ponury i zacietrzewiony ateizm. My? — my głosimy wolność wyznania!

Cała ta diatryba jest, oczywiście, samą perfidią. Nie ma różnicy między ateizmem Perona i ateizmem komunizmu. Jest to organiczna jednorodność, jest to jedno i to samo. Ten sam zakuty, ciemny ateizm, który powstał w obrębie cywilizacji chrześcijańskiej, który błąkał się i błąka po różnych zakamarkach świata, a w komunizmie tylko rozkwitł doskonale trującym kwiatem zła. To jest przecież symptomatyczne, że gdziekolwiek pojawia się zbiorowe nieszczęście człowieka, tam zjawia się ateizm i walka z Kościołem.

Z dystansu przestrzennej wyrazistości zdarzenia argentyńskie wyglądają więc tak: zaplątany w dyktatorskie przekleństwo porwał się jeszcze jeden nieszczęśnik do nowego odcinka swej meteorycznej drogi. Może się zdawać, że łuk tego biegu wznosi się ku górze. Ale patrzący z dystansu na to widowisko obserwator wie, iż to tylko droga łuku, który ma swe wzniesienie, ale i nieuchronny ześlizg w klęskę i zdruzgotanie. Patrzący wie nawet, w którym miejscu koniec drogi styka się z nicością.

Nasuwa się dziecinnie naiwne pytanie, dlaczego tego nie wie ten, który porwał się na taki bieg? Zwłaszcza w tym wypadku i w tym naszym czasie, kiedy było świeżo tyle na ten temat lekcji i doświadczeń?

17. 6. 1955. **J. K.**

STEFAN BADENI

AZYL I EKSTRADYCJA - ONGI

Car Piotr I miał z żony Eudoksji Łapuchiny syna Aleksego, urodzonego w roku 1690. Pochłonięty sprawami państwa, wojując i podróżując, nie troszczył się Piotr z początku o wychowanie syna. Chłopiec rósł wśród ludzi nienawidzących reform cara, który brutalnymi, azjatyckimi metodami wprowadzał do Rosji zwyczaje zachodnie i chciał państwo oraz mieszkańców zupełnie przekształcić. Liczne stronnictwo starorosyjskie pokładało w Aleksym nadzieje, pewne, że pod jego rządami Rosja powróci do dawnego obyczaju. Carewicz w niczym nie był podobny do ojca. Nie posiadał jego energii, lękał się wszelkiego wysiłku, nie chciał ani nauki ani służby wojskowej. Oddany starodawnej przesadnej pobożności, podobnej do zabobonu, lubował się w towarzystwie mnichów i wszelkiego rodzaju „cudotwórców", w których Rosja obfitowała. Ojca i nieubłaganej surowości jego bał się niezmiernie i pragnął jego śmierci. Gdy raz spowiadał się z tego uczucia, spowiednik rzekł: „Wszyscy tego samego pragniemy".

Car spostrzegł wreszcie, jak bardzo Aleksy nie odpowiada jego oczekiwaniom, ale i jego środki wychowawcze zawiodły. Młodzieniec przeciwstawiał im tępy może, ale niezłomny upór.

Piotr postanowił go ożenić. Nie dawnym zwyczajem, z Rosjanką, lecz z jedną z księżniczek Zachodu. Książę brunświcki miał dwie córki. Starszą, Elżbietę, wielkiej urody, poślubił cesarz Karol VI. Drugą, Karolinę, upatrzył car na synową. Agenci dyplomatyczni poczęli działać i rodzice wyrazili zgodę. Księżniczki o nią nie pytano, a i carewicz dowiedział się z niemieckiej gazety o swym narzeczeństwie. Nie chciał obcej żony, ale nie śmiał podnieść sprzeciwu. I Karolina była posłuszna, choć przerażała ją myśl o swej przyszłości w Rosji, dzikiej i okrutnej. Nie będąc urodziwą, miała zalety serca i umysłu i postanowiła być żoną uległą.

Nie przyszło jej to łatwo. Mąż jej żył nadal w swym dawnym środowisku. Bardziej tylko oddawał się pijaństwu, a ją traktował brutalnie. Po czteroletnim pożyciu, nie doznawszy znikąd przyjaźni, zachorowała ciężko. Gdy car przysłał jej swych lekarzy, podziękowała: jedynym jej pragnieniem było móc umrzeć.

Piotr nie stracił jeszcze nadziei, że Aleksy nagnie się i zechce poprowadzić państwo po drodze już wytyczonej. Wystosował do niego obszerne pismo, pełne praktycznych rad i uwag, nawet ożywionych wyrozumiałością. Ale zakończył groźbami, na wypadek dalszego oporu. „Zetnę cię — pisał — jak się ucina zgangrenowany członek."

Carewicz po naradzie z przyjaciółmi odpisał z największą pokorą, że czując się zupełnie niezdolnym do sprawowania rządów, prosi o pozwolenie zrzeczenia się następstwa i o możność pędzenia życia w klasztorze. W ten sposób chciał doczekać się śmierci ojca, już zapadającego na zdrowiu, nie wątpiąc, że oddane mu stronnictwo wprowadzi go tryumfalnie na tron.

Nie podobała się ojcu ta odpowiedź. Ponowił więc swą przestrogę, którą nazwał ostatnią — i udał się w podróż za granicę. Carewicz truchlał na myśl o jego powrocie i powziął plan ucieczki. Niedawno zakochał się w niewolnej, zwanej Eufrozyną. Dziewczyna ta, niskiego wzrostu, krępa, lecz o twarzy hożej, owładnęła sercem i myślą kochanka zupełnie. W jej towarzystwie wyruszył z kilkoma służącymi w podróż we wrześniu 1716 roku. W Rydze zaopatrzył się u Żyda lichwiarza w potrzebne dukaty i w październiku dotarł do Frankfurtu nad Odrą, potem do Wrocławia i Pragi, gdzie zakupiono strój męski, aby Eufrozyna mogła przedzierżgnąć się w pazia.

W Wiedniu późnym wieczorem, w listopadzie, kanclerz hrabia Schönborn, już w szlafroku, ślęczał nad aktami, gdy usłyszał niezwykły hałas. Ktoś dobijał się do bramy pałacowej. Po chwili straż przyprowadziła człowieka, który łamaną niemczyzną twierdził, że przybył z carewiczem. Niebawem Aleksy stanął przed zdumionym kanclerzem. Schönborn sądził zrazu, że ma do czynienia z obłąkanym. Ale rysy twarzy carewicza znał z wizerunków, a i słowa przybysza brzmiały wiarogodnie. W mowie gwałtownej i bezładnej opowiadał, że uciekł przed ojcem dybiącym na jego życie, że błaga o ratunek i o możność widzenia się ze swym szwagrem, cesarzem Karolem. Wyczerpany padł na krzesło i poprosił o piwo. Kanclerz pokrzepił go winem i uspokajał przyjaznymi słowami. W nocy do cesarza pójść nie może, ale jutro przedstawi sprawę i jest pewny, że pomoc nie będzie odmówiona.

Nazajutrz kanclerz oznajmił zbiegowi, że cesarz ze względu na ostrożność, konieczną w sprawie tak drażliwej, nie może go przyjąć, ale jest gotów udzielić mu azylu w najściślejszej tajemnicy.

Sekretarz kanclerza odwiózł carewicza wraz z paziem i służącymi pod zbrojną eskortą daleko w góry tyrolskie do zamku Ehrenberg. Stara ta twierdza w ciągu stuleci nieraz oblegana była istnym orlim gniazdem. Tutaj Aleksy poczuł się bezpieczny, a więc szczęśliwy. Była z nim Eufrozyna, która w swym przebraniu pozostawała niepoznana. Do zupełnego szczęścia brakło mu pociechy religijnej, lecz sekretarz obiecał mu dostarczyć później duchownego prawosławnego.

W tym czasie — w grudniu — Piotr przebywający w Meklemburgii dowiedział się o ucieczce. Natychmiast rozesłał gońców. Był przy nim jego ambasador wiedeński Wesselowski. Car przypuszczał że Aleksy schronił się do Wiednia i rozkazał amasadorowi tam powrócić. W drodze Wesselowski wypytując w zajazdach i na stacjach pocztowych, natrafił na trop zbiegów. Ale dotarłszy do Wiednia stracił go zupełnie. Wszyscy dostojnicy, których pytał, okazywali szczere zdumienie. Kanclerz oświadczył, że o niczym nie wie. Przez cztery miesiące ambasador gubił się w domysłach. Już miał donieść carowi o swej bezradności, gdy zgłosił się do niego pewien kancelista, z dagnia na jego żołdzie. Ten, podsłuchując wszędzie, zaglądając do szuflad i pomagając sobie domyślnością, powziął podejrzenie, że osoba poszukiwana znajduje się w Tyrolu. Właśnie przybył do Wiednia przysłany przez cara kapitan gwardii Rumiancew z trzema oficerami. Mieli fałszywe papiery i byli ludźmi zuchwałymi, gotowymi na wszystko. Rumiancew podążył zaraz do Tyrolu i posłyszał tam, że na zamku ehrenberskim jest więziony wybitny magnat węgierski, lub polski. Udało mu się podkraść do twierdzy — i z daleka ujrzał carewicza.

Uradowany powrócił do Wiednia. Skoro tylko kanclerz dowiedział się, że miejsce pobytu jest odkryte, wysłał swego sekretarza do twierdzy. Aleksy padł przed nim na kolana: „W Imię Boga! — zawołał — błagam, niech cesarz mnie ratuje i nie opuszcza w mym nieszczęściu!" Sekretarz oznajmił mu, że zawiezie go do innej kryjówki.

Królestwo neapolitańskie wchodziło wówczas w skład krajów habsburskich. Tam, do zamku St. Elmo wiodła podróż długa, acz pośpieszna. Po powrocie do Wiednia, sekretarz opowiedział kanclerzowi, ile kłopotu sprawiły mu w drodze skłonność do trunków carewicza i pazia, i pijackie ich burdy. Szczególnie zabawiło starego kanclerza odkrycie, że „mały paź o kształtach okrągłych jest kobietą" — i dalsze szczegóły „tak pocieszne — donosił innemu ministrowi — że bardziej pocieszne być nie mogą".

Wyjazd z Tyrolu nie uszedł uwadze wywiadowców ambasadora. Puścili się w trop za trójką podróżnych i dotarli do Neapolu, ale w tym wielkim mieście ślad się gubił.

Tymczasem przybył do Wiednia nowy wysłannik cara, Piotr Tołstoj, uchodzący za „najchytrzejszego i najbardziej wymownego z Moskali". Próżno jednak on i ambasador wyglądali wieści o zbiegu. Wreszcie zjawił się u nich rezydent Rzeczypospolitej z listem swego rzymskiego kolegi wymieniającym St. Elmo.

Ambasador zażądał od kanclerza natychmiastowego zwolnienia „więzionego bezprawnie" carewicza. Schönborn tym razem przeczyć już nie mógł, oświadczył więc, że cesarz nie wyda Aleksego wbrew jego woli, ale zezwala, by carscy agenci odwiedzili go i spróbowali nakłonić do powrotu.

Równocześnie przesłał kanclerz cesarskiemu namiestnikowi w Neapolu szczegółowe pouczenia. Rozmowy muszą się odbywać w jego obecności, należy uczynić wszystko, by nie doszło do bójki i znieważenia carewicza. „Moskale — przestrzegał kanclerz — są ludźmi pozbawionymi skrupułów i zdolnymi do wszystkiego."

Usłyszawszy o przybyciu straszliwych gości Aleksy przeraził się niepomiernie. Jak donosił namiestnik, na wieść tę „począł on trząść się na całym ciele, tak właśnie, jak gdyby miał być wykonany na nim wyrok śmierci".

Tołstoj i Rumiancew wręczyli carewiczowi list ojca. „Jeśli będziesz posłuszny — pisał car — możesz oczekiwać ode mnie wszystkiego dobrego. Przysięgam na sprawiedliwość Boską, że nie spotka cię żadna kara..." — Aleksy oświadczył posłom, że się zastanowi.

Następne spotkanie nie dało lepszego wyniku. Carewicz zapowiedział, że napisze do ojca.

Po raz trzeci poproszony o posłuchanie wymówił się niezdrowiem.

Czas upływał, ale Tołstoj działał. Już poznał usposobienie syna carskiego, jego rozstrój nerwowy i także graniczące z obłędem uczucie dla Eufrozyny. Postanowił przeprowadzić potrójny bezlitosny atak. Datkiem 160 guldenów przekupił urzędnika posyłanego często z Neapolu do St. Elmo i polecił mu, by w poufnych rozmowach dał do zrozumienia carewiczowi, że cesarz jest już zmęczony opieką nad nim. Wydanie go jest rzeczą postanowioną. — Namiestnika poprosił, by zażądał od carewicza położenia kresu gorszącemu przebywaniu w zamku Eufrozyny i zagroził usunięciem jej siłą. Gdy namiestnik oświadczył, że nie jest do tego upoważniony, odparł mu, że chodzi wszak tylko o próbę. Trzeci atak Moskala był bezpośredni: oświadczył Aleksemu, że car na czele wojsk upomni się o niego; zanim jednak użyje siły, przybędzie sam do St. Elmo. Kto się wtedy ośmieli wzbronić mu rozmowy z synem? Carewicz, już wstrząśnięty zwierzeniami urzędnika i żądaniem namiestnika, załamał się zupełnie. Gdy jeszcze Tołstoj przyobiecał mu pozwolenie cara na poślubienie Eufrozyny, wyraził gotowość do natychmiastowego wyjazdu z nim i z Rumiancewem. Nagłość tej decyzji zdumiała namiestnika: „To graniczyło wprost z cudownością", doniósł do Wiednia.

W październiku opuszczono St. Elmo i Neapol. Pierwszym celem miał być Wiedeń, ale po drodze odbył carewicz pielgrzymkę do Bari, aby uderzyć czołem przed prochami św. biskupa Mikołaja, złożonymi w katedrze. Dalsza podróż była szybka. Aleksy zamierzał w Wiedniu osobiście podziękować cesarzowi za gościnę i opiekę, a i Karol pragnął przekonać się o stanie zdrowia swego szwagra. Ale nowi opiekunowie carewicza nie dopuścili do tego spotkania, i po kilkugodzinnym popasaniu ruszono dalej, do Berna Morawskiego. Cesarz oburzony pchnął pośpiesznego gońca do tamtejszego komendanta z rozkazem niewypuszczenia podróżnych z miasta, zanim nie rozmówi się z carewiczem. Gdy komendant zgłosił się do zajazdu, Tołstoj oznajmił, że książę jest zmęczony i nie może go przyjąć.

Nazajutrz twierdził, że dzień jest świętem prawosławnym i że Jego Wysokość pragnie go spędzić na pobożnym rozmyślaniu. Kiedy trzeciego dnia komendant zażądał stanowczo posłuchania, Tołstoj zaprotestował przeciwko natarczywemu postępowaniu, uwłaczającemu w jego osobie majestatowi cara. Wreszcie komendant przybył z oddziałem żołnierzy. Teraz dopiero Tołstoj i Rumiancew przyprowadzili carewicza, nie spuszczając zeń przez cały czas oczu. Komendant wygłosił powitalną przemowę, Aleksy dziękował i wyraził ubolewanie, że nie mógł być u cesarza z powodu znużenia drogą i ubóstwa swego pojazdu.

Granica Rzeczypospolitej była niedaleko, a tam czekały już oddziały cara. Aleksy jechał na pewną śmierć.

Wbrew swojej przysiędze podda Piotr syna w najbliższych już tygodniach sądowi i torturze. Nieszczęsny młodzian wyda nazwiska wszystkich swych przyjaciół, przyzna się do dawnych win, do swych uczuć wrogich względem ojca. Piotr sam będzie oprawcą swego syna, który wyzionie ducha pod uderzeniami knuta w jego ręku.

Stefan Badeni

TRAGEDIA WIETNAMU

Mgr Hoang-Van-Doan, wikariusz apostolski w Bac-Ninh w północnym Wietnamie, podaje po opuszczeniu swego wikariatu i przybyciu do Hongkongu garść wiadomości o losach chrześcijan pod władzą komunistów. Wikariat Bac—Ninhu był spustoszony przez wojnę, przechodził z rąk komunistów do rąk Francuzów, aż wreszcie w roku 1954 usadowili się tam na stałe komuniści. Mgr Van Doan zastał w r. 1950 swą siedzibę w gruzach, ocalała jedynie katedra, w której mieszkali żołnierze. Zmuszony był zamieszkać w zakrystii. Odbudował seminarium, wyreperował kościoły, lecz teren jego wikariatu pozostawał stale, aż do rozejmu, w strefie operacji wojennych.

Począwszy od lipca roku 1954 Mgr Van Doan był pod nieprzerwanym nadzorem komunistów; pozwolenia na odwiedzanie wiernych uzyskiwał z największą trudnością, nieraz czekał na nie miesiącami. 29 września 1954 roku, udając się na rowerze w odwiedziny do wiernych, wpadł w zasadzkę komunistyczną. Zaatakowany i pobity przez żołdaków Wietnamu, ze złamaną nogą i licznymi kontuzjami, otrzymał rozkaz udania się do sąsiedniej wsi, co mógł wykonać jedynie pełzając na rękach i posiłkując się zdrową nogą. Następnego dnia go wypuszczono, wierni zaś przewieźli go z powrotem do Bac-Ninhu. Była to, zdaniem Monsignora, zemsta komunistów za jego protesty przeciw oskarżaniu chrześcijan o współdziałanie z imperialistami amerykańskimi i zatruwanie studni w okolicy.

W kwietniu rb. udało mu się wyjechać do Hanoi, tam zaś dostał zezwolenie na przedostanie się do Haiphongu, będącego jeszcze w rękach Francuzów. Z Haiphongu udał się drogą morską do Hongkongu, gdzie oczekuje na wyjazd do południowego Wietnamu. Na południu przebywa obecnie większa część jego wiernych.

Wikariat apostolski w BacNinh liczył w roku ubiegłym 63 księży i 70 tysięcy chrześcijan, z czego do końca marca br. wyemigrowało na południe 50 księży i przeszło 40 tysięcy wiernych, a liczba ich nadal rośnie. Księża w strefie komunistycznej są piętnowani jako kapitaliści i wyzyskiwacze ludu; muszą pracować w polu, aby zarobić na życie. Chrześcijanie pozostali w Bac-Ninhu zamieszkują okolice górzyste, bądź odległe od centrów miejskich; wyjechać im jest trudno, gdyż władza Komisji Międzynarodowej tam nie sięga.

Przyszłość jest niepewna — mówił Msgr. Van Doan — systematyczna propaganda komunistyczna, ciągłe zebrania i surowa dyscyplina w miastach i na wsi mogą urobić ludność w duchu materializmu. Prześladowanie Kościoła nie ma charakteru krwawego, jest bardziej subtelne i zdradliwe. Komuniści chcą zniszczyć ducha Kościoła, zatruwają dusze dzieci, werbując ich do organizacji pod nazwą „Dzieci Zbawcy Ojczyzny".

Trzeba dodać, że sytuacja chrześcijan, którzy opuścili komunistyczną część Wietnamu emigrując na południe, staje się coraz bardziej niepokojąca. Groźba opanowania przez komunistów południowego Wietnamu, trawionego obecnie wojną domową, jest realna i rośnie w miarę zbliżania się terminu wyborów powszechnych, ustalonego w układzie genewskim na lipiec 1956 r. „Rząd amerykański — pisze J. Alsop, korespondent „New York Herald Tribune" — ponosi całkowitą i niezaprzeczalną odpowiedzialność moralną za los 700 tysięcy uchodźców, którzy uszli do południowych Indochin z komunistycznej północy... Flota amerykańska przewoziła tych biednych ludzi z ich starych domostw na północy do nowych siedzib na południu... Zachęcano ich do ucieczki... Trzy czwarte z nich — to katolicy..."

„Cóż więc ma stać się z tymi uchodźcami, jeżeli południowe Indochiny także wpadną w ręce komunistów? Nie można ich przenosić po raz drugi, gdyż żaden kraj nie przyjmie 700 tysięcy nowych azjatyckich obywateli. Czy mają być pozostawieni swemu okrutnemu losowi? Czy też mają ich bronić marynarze amerykańscy, utrzymując południe? Wybór będzie ciężki w całym znaczeniu tego słowa."

Jest to jeden z nieprzewidzianych skutków kapitulacji Zachodu wobec naporu komunistycznego w Azji.

L. K.

OSTRZEŻENIE ŚW. OFICJUM

W SPRAWIE RUCHU „DOZBROJENIA MORALNEGO"

Pisma katolickie ogłosiły następujące ostrzeżenie św. Oficjum:

„Święte Oficjum widzi ze zdziwieniem, że katolicy, a co więcej duchowni, próbują osiągnąć pewne cele moralne i społeczne, nawet chwalebne, w obrębie ruchu, któremu daleko do doktryny życia duchowego i środków nadprzyrodzonych łaski będących udziałem Kościoła katolickiego.

„Z jeszcze większym zdziwieniem należy podnieść, że niektórzy zwolennicy ruchu „Dozbrojenia Moralnego", broniąc z przesadnym entuzjazmem metod i środków przez ten ruch propagowanych, zdają się sądzić — a przynajmniej czynią takie wrażenie — że środki te są skuteczniejsze od będących w dyspozycji Kościoła katolickiego.

„Inni znów widzą w „Dozbrojeniu Moralnym" niebezpieczeństwo synkretyzmu i obojętności religijnej.

Dla tych powodów Święte Oficjum udziela ponownie wskazówek następujących:

„1) Nie jest właściwe, aby duchowni świeccy i zakonni, a tym bardziej zakonnice, uczestniczyli w zebraniach „Dozbrojenia Moralnego".

„2) Jeżeli w wyjątkowych wypadkach uczestnictwo takie będzie wskazane, należy uzyskać uprzednio zezwolenie Świętego Oficjum. Pozwolenia takie będą udzielane jedynie duchownym mającym odpowiedni zasób wiedzy i dokładnie poinformowanym z doktrynalnego i teologicznego punktu widzenia.

„3) Wreszcie, nie jest właściwe, aby katolicy świeccy przyjmowali stanowiska kierownicze w „Dozbrojeniu Moralnym".

Ze Stowarzyszeń Katolickich

„IUVENTUS CHRISTIANA"

W dniu Zielonych Świątek pod gościnnym dachem oo. marianów w Fawley Court odbyła się w kaplicy zakładu uroczystość złożenia „przyrzeczenia iuventusowego" przez członków organizacji Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Iuventus Christiana".

Przyrzeczenie składano u stopni ołtarza, po Mszy św. odprawionej przez duszpasterza akademickiego i asystenta stowarzyszenia, ks. K. Krzyżanowskiego. W czasie Mszy św. młodzież przystąpiła do Komunii św.

Stowarzyszenie „Iuventus Christiana" powstało rok temu w oparciu o tradycje istniejących w Polsce przed wojną kół katolickich o tej samej nazwie. Podstawą pracy młodzieży „Iuventus Christiana" jest czytanie Nowego Testamentu i szukanie w nim wskazówek dla pogłębienia wiary i rozwiązywania codziennych trudnych problemów życia.

Koło w Londynie posiada sekcje: teologiczną, filozoficzną i socjologiczną. Poza pracą intelektualną kładzie się w Kole duży nacisk na wspólne rozrywki, wycieczki i zabawy. Miejscem zebrań jest Hospicjum św. Stanisława przy 21 Earls Court Square.

PROPAGANDA „KATOLIKÓW SPOŁECZNIE POSTĘPOWYCH"

PSEUDOKATOLICKA PROPAGANDA

Propaganda reżymu na zagranicę w sprawach religijnych stale jest rozszerzana, zarówno w zasięgu, jak i w ilości podawanego materiału.

Nadawany jest stale program z wiadomościami z Polski w najważniejszych językach światowych. Wśród tych wiadomości coraz więcej miejsca zajmują wiadomości z zakresu stosunków wyznaniowych oraz wiadomości o położeniu Kościoła katolickiego. Audycje te nadawane są na specjalnie silnej stacji z anteną skierowaną na Zachód i noszą nazwę „Warszawa III". Wśród wielojęzycznych audycji, są również programy polskie adresowane przede wszystkim do emigracji polskiej we Francji, Niemczech i W. Brytanii.

Dla zorientowania się w perfidnym działaniu tej propagandy można zacytować pierwszą lepszą wiadomość. W dniu 27 marca „Warszawa III" w swoich programach informacyjnych nadała następującą wiadomość: „Katolickie pisma periodyczne w Polsce ukażą się w bieżącym roku w nakładzie łącznym 53 milionów egzemplarzy. Kolportowany w całym kraju dziennik katolicki „Słowo Powszechne" ukazuje się w nakładzie 100.000 egzemplarzy".

Reżym komunistyczny liczy na to, iż niezorientowany słuchacz zagraniczny weźmie wiadomość powyższą za dobrą monetę, zastanowi się nad wysokością nakładu pism „katolickich" i w konsekwencji dojdzie do wniosku, że wiadomości o prześladowaniach za żelazną kurtyną są przesadzone.

W rzeczywistości zaś żadne z wychodzących w Polsce obecnie pism o nazwie „katolickiej" nie jest pismem katolickim w takim znaczeniu, w jakim je powszechnie rozumiemy. Wszystkie pisma katolickie naprawdę, to znaczy takie, które wychodziły z aprobatą władz kościelnych, zostały przez komunistów brutalnie zdławione w roku 1951 i 1952. Od tego czasu wychodzą jedynie te pisma pseudokatolickie, których redaktorzy wywodzą się z grup „katolików reżymowych" i idą na współpracę z komunizmem.

TOMASZ DOBROWOLSKI

ZAGADNIENIA WYBRANE

Wydana na początku bieżącego roku, książka „Catholic Approaches"*) wzbudziła zainteresowanie w kołach nie tylko katolickich. Jest to praca zbiorowa, obejmująca dziesięć rozdziałów, dziesięciu różnych autorów. Rozdziały te nie są sobie równe pod względem wartości, głębokości poruszanych zagadnień i ich stosunkowej ważności. Jak pisze we wstępie inicjatorka i redaktorka całości, Lady Pakenham, celem przyświecającym autorom było znalezienie konstruktywnych i uczciwych odpowiedzi na wyzwania, jakie współczesność rzuciła chrześcijaństwu, rozumianemu nie tylko jako Wiara, ale również, a raczej bardziej jeszcze jako chrześcijański sposób i treść życia.

Wyzwania te, to przede wszystkim trudności uzgodnienia katolickiego, a więc prawdziwie chrześcijańskiego życia, z setkami problemów, jakie współczesność nam stawia. Książka Lady Pakenham nie pretenduje do znalezienia jasnych odpowiedzi na każdy z tych problemów. W wyborze ich autorzy nie kierowali się zresztą ich relatywną czy też bezwzględną ważnością. Tematy wybrane do poruszenia i przedyskutowania mają jedną wspólną cechę. Są to tematy trudne, nie znajdujące łatwego wyjaśnienia w doktrynie Kościoła. Są to też często tematy drażliwe. „Gdzie czuliśmy — pisze Lady Pakenham — że wyzwanie jest szczególnie silne i niebezpieczne, tam staraliśmy się na nie odpowiedzieć."

Jak się przekonamy z przeglądu dziesięciu rozdziałów książki, nie wszystkie z nich zajmują się praktycznym rozwiązywaniem trudności stawianych nam, katolikom, przez życie współczesne. Kilka z nich dotyczy zagadnień w swej istocie fundamentalnych, mających wagę dla każdej epoki.

Żaden z autorów nie narzuca swojego rozwiązania, czy nawet swojego punktu widzenia. Sam tytuł książki: „Catholic Approaches" oznacza raczej sposób podejścia do zagadnień, niż dekretowanie.

Na dziesięciu autorów, czterech jest konwertytami. Do Kościoła katolickiego zostali przyjęci już jako dorośli ludzie.

Autorem pierwszego rozdziału: **„Tajemnica zła"**, jest jezuita, ojciec Martin D'Arcy, wieloletni profesor filozofii w Oksfordzie. Porusza on problem zajmujący umysły ludzi przypuszczalnie od czasów stworzenia. Jest to przy tym problem, na który każdy sobie musi znaleźć własną odpowiedź: jak pogodzić istniejące w świecie zło i cierpienie ze Wszechmiłością i Wszechmiłosierdziem Bożym?

Stwierdzenie, że na to pytanie każdy sam własną odpowiedź musi znaleźć, nie oznacza wcale, że jest to zagadnienie subiektywne i że prawda obiektywna nie jest wystarczająca. Ale obiektywna odpowiedź, a przynajmniej odpowiedź pełna i całkowita nie leży w ramach naszego ziemskiego zasięgu, ale w wieczności i nieskończoności. Wyzwanie jednak, rzucane nam w tej dziedzinie przez życie, jest realne i konkretne. Porusza ono przy tym nie tylko nasz intelekt, ale i to często najsilniej, nasze najgłębsze uczucia. Znamy przy tym tylko część elementów odpowiedzi. Niektóre tylko z tych elementów leżą w granicach wiedzy i ludzkiego poznania. Inne odnajdujemy w Wierze. A choć nie stać nas na znalezienie odpowiedzi wyczerpującej, to znalezienie jej w wystarczającym dla nas samych stopniu jest dla nas często psychiczną koniecznością.

Artykuł o. D'Arcy nie przynosi też nam kompletnej odpowiedzi. Wskazuje jednak na kierunek, w którym mamy tej odpowiedzi poszukiwać.

Znany działacz i publicysta katolicki, redaktor tygodnika „Tablet", Douglas Woodruff, zastanawia się w drugim artykule nad problemem zatytułowanym: **„Uncomitted Mind"**. Trudno byłoby przetłumaczyć to dosłownie. Chodzi tu o typ umysłu, nie chcący podporządkować się żadnym uznanym prawdom i prawom, a przynamniej chcący za taki uchodzić. Jest to krańcowa postawa sceptyczna, rodzaj umysłowego anarchizmu. Podejście p. Woodruffa do tego problemu jest jednocześnie analityczne i praktyczne.

Wielu spośród ludzi pretendujących do takiej postawy nie dostrzega, iż często w praktyce wymieniają oni tylko prawdę na slogany. Dotyczy to zarówno tych, którzy odrzucają prawdy wieczyste opierając się na chwilowo aktualnym stopniu rozwoju nauk ścisłych, jak i tych, którzy próbują być konsekwentnymi w swojej postawie w odniesieniu do struktury społecznej i politycznej. „Człowiek — pisze p. Woodruff — który uważa siebie za zbyt wykształconego, oświeconego i intelektualnego, aby móc nawet pomyleć o przyjęciu czegokolwiek jako na pewno i niewzruszenie prawdziwego, który buduje swoją moralność na osobistym ustosunkowaniu się do problemów i na subiektywnych osądach wartości, zostaje zupełnie bezbronny przed atakiem prymitywnych, ale znacznie dynamiczniejszych w gwałtowny sposób ludzi, proklamujących ich własne uszeregowanie wartości, równie dobre, jak jego własne, a nawet lepsze, gdyż stoi za nim siła."

W dalszym ciągu rozdziału p. Woodruff z analizy przechodzi do apologetyki i ten punkt jego wywodów, pozostając obiektywnie wartościowym, nie posiada już tej siły i świeżości, jaka cechuje część pierwszą.

Nie ma za to w sobie nic z apologetyki świetnie skonstruowany rozdział profesora G. Temple. Autor wielu prac na temat względności, teorii kwantów, aerodynamiki i innych, jest on jednocześnie przewodniczącym Aquinas Society w Londynie. Tytuł rozdziału brzmi: **„Fizyka i Filozofia"**. Treść jest szersza od tytułu, gdyż autor porusza tu nie tylko zagadnienie stosunku fizyki współczesnej do filozofii, ale całokształt stosunku tzw. nauk ścisłych do innych gałęzi nauki, z teologią i filozofią na czele.

Jak słusznie autor zaznacza na wstępie, w ostatnich czasach zbyt często przywykło się utożsamiać nauki tzw. ścisłe, z nauką w ogóle. Przyjęty na Zachodzie termin: „Science", jest nieścisły i wprowadzający w błąd. Metoda naukowa dociekań nie jest wcale bardziej właściwa dla nauk kiedyś zwanych naturalnymi, niż dla wszystkich innych. Metoda laboratoryjno-eksperymentalna nie jest metodą ani jedyną, ani, nawet w samych naukach ścisłych a zwłaszcza w miarę ich postępu i rozwoju, najważniejszą i dominującą. Odgrywa ona często rolę przygotowawczą zbierania i podporządkowania surowego materiału dla właściwych naukowych dociekań; często też, ale nie zawsze, służy jako metoda kontrolująca. Nie wszystkie jednak nauki mogą się tą metodą posługiwać i tendencja do opierania się na niej samej byłaby w gruncie rzeczy zaprzeczeniem naukowości.

Prof. Temple w rozwinięciu swego rozdziału zajmuje się głównie przeglądem aktualnym trudności uzgodnienia tradycyjnego katolickiego stanowiska filozoficznego z niektórymi problemami współczesnego stadium rozwojowego nauk ścisłych. Trudności te nie zawsze mogą być łatwo rozwiązane. Często polegają one na niemożności uzgodnienia nie faktów z faktami, ale założeń z założeniami. Teorie i hipotezy są i muszą być w wielu wypadkach apriorystyczne. W tym wypadku istotny konflikt istnieje między różnymi punktami wyjściowymi.

Nie znaczy to jednak, że dla naukowca katolickiego nie ma w tej dziedzinie rzeczywistych trudności. Ale istota nauki polega właśnie nie na unikaniu czy pomijaniu trudności, ale na ich wyszukiwaniu i przezwyciężaniu.

A linia postępu nauki nie jest nigdy linią prostą.

Poza ukazaniem właściwego podejścia do trudności tego typu prof. Temple zajmuje się w dalszej części swego rozdziału niektórymi konkretnymi zagadnieniami. Ciekawie, ale niewyczerpująco, jest przedstawione zagadnienie przyczynowości w odniesieniu do filozoficznych wywodów św. Tomasza. I tu prof. Temple wydaje się być zasugerowany terminologią. Przyjmując za fakt eksperymentalny podważenie ścisłego, łańcuchowego związku przyczynowości sprawczej znajduje w tym zagrożenie dla tradycyjnego poglądu filozofii katolickiej. U przewodniczącego Aquinas Society jest to stanowisko nieco zaskakujące. Przyczynowość sprawcza, jako korelatywna z przyczynowością celową, jak zresztą również z przyczynowością formalną i materialną, będąc, jak one integralnym czynnikiem bytów zmiennych, nie jest jednak czynnikiem, który może być zawsze wyodrębniony. Postulowanie korelacji przyczynowości, dla filozofii katolickiej jak najbardziej podstawowe, nie może w konkretnej analizie problemu pozostawać w dziedzinie teorii nieobowiązującej. A tylko przy pomijaniu korelacji trudność ta, nad którą prof. Temple się długo zatrzymuje, pozostanie trudnością poważną.

Autor następnego rozdziału zatytułowanego: **„Kościół i płeć"**, dr E. B. Strauss, jest doktorem medycyny i wybitnym psychiatrą angielskim. W latach 1953/54 był przewodniczącym sekcji psychiatrycznej Królewskiego Stowarzyszenia Medycznego. Wykłady, które prowadził w Royal College of Physician, były wyrazem neo-tomistycznego podejścia do problemów psychiatrii i ukazały się w formie książkowej pt. „Reason and Unreason in Psychological Medicine".

Jego rozdział w „Catholic Approaches" nosi formę dialogu między dwoma przyjaciółmi, katolikiem i agnostykiem. Dyskusja dotyczy stanowiska katolickiego w sprawach seksualnych i jest lekkim w czytaniu przeglądem najważniejszych fragmentów tego problemu.

Powiązany z tym zagadnieniem jest rozdział następny, pióra Lady Pakenham: **„Małżeństwo i rodzina"**.

Zagadnienie tej miary, podobnie zresztą jak i poprzednie, w stosunkowo krótkim essayu może być przedstawione jedynie pobieżnie. Autorka zatrzymuje się na kilku aspektach małżeństwa i rodziny, aspektach, które, jej zdaniem, są wśród samych katolików najbardziej kontrowersyjne.

Lady Pakenham, która przeszła na katolicyzm w 1946 roku, jest matką czterech synów i czterech córek.

Pani Nicolette Gray, której okres nawrócenia przypada na jej studia uniwersyteckie, rozpatruje w następnym rozdziale zagadnienia związane z katolickim wychowaniem dzieci. Rozdział pani Gray jest jednym z najlepszych w książce. Zagadnienie, które stawia na pierwszym miejscu, to pytanie, co właściwie mamy rozumieć przez katolickie wychowanie. Odpowiedź jest jasna, choć nie tak łatwa do praktycznego zastosowania: „Chodzi o takie wychowanie dzieci, aby »być katolikiem« ze wszystkimi tego implikacjami — było dla nich czymś naturalnym". I do tego ważne uzupełnienie: „Wychowanie jest problemem praktycznym. Wychowuje się dziecko współczesne tak, aby było zdolne do życia w świecie współczesnym".

Patrzenie na dzieci przez różowe okulary, idealizowanie dziecka, prowadzi w wychowaniu do wielu poważnych błędów. „Dzieci są niegrzeczne — pisze pani Gray. — Trudno mi zrozumieć, jak ktoś, kto ma z dziećmi do czynienia, może nie być absolutnie przekonany o słuszności doktryny grzechu pierworodnego."

W nowoczesnym wychowaniu dzieci niektóre dziedziny są potwornie zaniedbane. Każda inteligentna dziewczyna, na przykład, jest według autorki wychowywana na starą pannę. A kiedy wychodzi za mąż, wtedy staje wobec mnóstwa problemów, do rozwiązania których jej studia zawodowe najczęściej nie przygotowały jej zupełnie.

„Sztuka i Sakrament jako wyraz człowieczeństwa" byłoby może najwłaściwszym tłumaczeniem skomplikowanego tytułu kolejnego rozdziału, napisanego przez malarza, grafika a jednocześnie teoretyka sztuki p. Davis Jones. Jest to również konwertyta, a rozdział jego pióra postawiłbym na pierwszym miejscu „Catholic Approaches" pod względem oryginalności i głębokości myśli, śmiałości w traktowaniu problemów i konstrukcji filozoficznej. W niektórych zresztą punktach wywody jego wkraczają w dziedzinę teologii, a czytelnikowi dają wiele tematów do własnych przemyśleń.

Arcybiskup Mathew jest autorem następnego rozdziału zatytułowanego: **„Spojrzenie na Afrykę"**. Podejście jego jest autentycznie i szeroko katolickie, nie tylko ze ściśle religijnego, ale przede wszystkim ludzkiego punktu widzenia. Czarny Ląd jest teraz w momencie kształtowania się kulturalnego. Ten moment przypuszczalnie zadecyduje o jego przyszłości. Arcybiskup Mathew, który w Afryce spędził wiele lat, jako Delegat Apostolski, przedstawia jej najistotniejsze problemy w sposób odważny i zdecydowany.

Lord Pakenham, kilkakrotny minister w rządach laburzystowskich i były Pierwszy Lord Admiralicji, który przeszedł na katolicyzm w roku 1940 w wieku lat 34, porusza niektóre problemy katolika zaangażowanego czynnie w polityce. To, co pisze, jest typowe bardziej dla praktyka, niż dla teoretyka polityki. Stanowisko jego jest minimalistyczne — wykorzystywania raczej, niż stwarzania nowych możliwości działania.

Belgijski benedyktyn, o. de Grunne zamyka książkę rzutem oka cudzoziemca na katolicyzm angielski. Ten rozdział, pisany bezpretensjonalnie, ma charakter trochę felietonowy.

Trudno byłoby myśleć w naszych warunkach emigracyjnych o przekładzie całości „Catholic Approaches" na język polski. Ale warto by to uczynić przynajmniej z kilkoma rozdziałami. A przede wszystkim z rozdziałami pióra p. Jones i p. Gray.

Tomasz Dobrowolski

*) CATHOLIC APPROACHES — edited by Lady Elizabeth Pakenham, published by Weidenfeld and Nicolson, London. P. 227. 15/-.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

„Polonia Restituta" dla opata Monte Cassino. Z okazji jedenastej rocznicy zwycięstwa polskiego pod Monte Cassino w Italii, ambasador Polski przy Watykanie dr Kazimierz Papée wręczył opatowi o. Ildefonsowi Rea najwyższe polskie odznaczenie państwowe Komandorię Orderu „Polonia Restituta". Opat benedyktyński otrzymał order w dowód uznania za jego opiekę nad grobami poległych pod Monte Cassino żołnierzy polskich, którzy dusze oddali Bogu, serca złożyli w ofierze dalekiej Ojczyźnie, a ciałem spoczęli na gościnnej ziemi włoskiej.

Ceremonia wręczenia komandorii odbyła się po uroczystym żałobnym nabożeństwie na polskim cmentarzu pod Monte Cassino, gdzie znajdują się groby 1.069 żołnierzy polskich. W uroczystości brały udział delegacje polskie z Italii, byli żołnierze polscy przebywający jeszcze w Italii oraz duchowieństwo i władze świeckie.

Kardynał Gracias w Londynie. Arcybiskup Bombaju, kardynał Walerian Gracias, odbywa podróż dwumiesięczną po Anglii, Irlandii, Belgii, Francji i Niemczech. W czasie pobytu w Londynie odbyła się jego koncelebra Sumy w katedrze westminsterskiej w dniu 12 czerwca.

Drogi konwertytów do Rzymu. Zawsze interesujące są drogi, jakimi grzesznicy powracają do Boga, a konwertyci z pogaństwa, schizmy lub herezji dochodzą do poznania Prawdy i uznają nad sobą władzę Papieża. Jeden z konwertytów, dr Wu, stwierdził, że nawrócenie jest tajemnicą, która całkowicie będzie zrozumiana dopiero w Niebie. Rąbki tej tajemnicy odsłaniają nieraz sami konwertyci: ostatnio ukazał się IV tom książki „The Road to Damascus", wydawanej przez John O'Brien.

Działalność „Catholic Truth Society". Na dorocznym zebraniu „Catholic Truth Society", stowarzyszenia wydawniczego zasłużonego w szerzeniu znajomości nauki Chrystusowej we wszystkich dziedzinach życia, wykazano, że w minionym roku sprawozdawczym rozpowszechniono ponad 2 miliony broszur, wśród nich ponad 100.000 egz. encyklik papieskich. Stowarzyszenie liczy 70 lat istnienia i w tym czasie rozeszło się ponad 70 milionów egz. jego wydawnictw. W katolickich kościołach angielskich są, jak wiadomo, stoiska z tymi wydawnictwami i wierni, a niejednokrotnie i nie-katolicy wybierają sobie broszurki, wrzucając należność do umieszczonych obok skarbonek. Jedna z ostatnich broszurek pt. „The Catholic Church and Science" omawia, jak przeważnie wszystkie wydawnictwa „Catholic Truth Society", w sposób jasny, a zarazem wyczerpujący i znakomity, czym jest wiedza, jakie są jej metody, jaki jest stosunek Kościoła katolickiego do wiedzy, dlaczego uczeni są nieraz niewierzący, itd.

O zrównanie płac kobiet z płacami mężczyzn. Światowa Unia Katolickich Organizacji Kobiet biorąc udział w pracach przygotowawczych dla Komisji Położenia Kobiety przy Organizacji Narodów Zjednoczonych wystosowała odpowiedź na ankietę w sprawie płac kobiet. Raport Unii wziął pod uwagę odpowiedzi 13 krajów i przypomniał trzy wypowiedzi Ojca św. na ten temat. Z kolei Komisja Położenia Kobiety rozpatrywała na swym zebraniu problem płac dla kobiet i w deklaracji swej stwierdziła, że równe prawa dla kobiety i mężczyzny w zakresie pracy podkreślałyby równość obu płci i w innych dziedzinach, i zaleciła rządom, by przeprowadziły zrównanie w płacach kobiet z mężczyznami, nie tylko w swoich krajach, ale i w krajach podlegających ich opiece i w krajach nie-autonomicznych.

25-lecie katolickiej misji holenderskiej. Wśród około 10.000 emigrantów holenderskich we Francji jest mniej więcej 4.000 katolików, nad którymi pieczę duchową zlecono holenderskim księżom łazarzystom. 5 czerwca obchodzono w Paryżu uroczyście 25-lecie holenderskiej misji katolickiej, przy udziale holenderskich władz kościelnych i cywilnych.

XXIV WEEK-END DYSKUSYJNY P. K. S. U. „VERITAS"

W roku bieżącym odbędzie się w Nottingham kongres Pax Romana. Tematem będzie rozważenie problemów, jakie ma absolwent szkoły akademickiej, przechodząc z ławy uniwersyteckiej do życia. Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie „Veritas", podobnie jak w latach ubiegłych, biorąc czynny udział w pracach Pax Romana, poświęca obecny Week-end, 2 i 3 lipca omówieniu tematu: „Przejście absolwenta uniwersytetu do życia" — w następujących referatach:

— Sylwetka absolwenta szkoły akademickiej — przedstawi p. inż. J. Wiśniewski,

— Trudności w realizowaniu planu życia: a) natury zewnętrznej, wywodzące się z otoczenia — omówi dr J. Zubrzycki, b) natury wewnętrznej, wynikające z psychiki jednostki — p. Z. Butrymówna,

— Tezy końcowe o znaczeniu środowiska pracy ideowej — p. W. Gorgolewski.

Week-End odbywać się będzie w Hospicjum św. Stanisława w Londynie, początek w sobotę 1 lipca o godz. 16.30. Uczestnictwo tylko za zaproszeniami, które otrzymać można w sekretariacie PKSU Veritas, lub przez członków organizacji.

ANKIETA W SPRAWIE POWOŁAŃ KAPŁAŃSKICH

W Szwajcarii ma się ukazać książka zawierająca wynik ankiety przeprowadzonej wśród 621 księży na temat dróg, jakie ich zaprowadziły do stanu kapłańskiego. Większość księży biorących udział w ankiecie (425) pochodzi ze Szwajcarii, reszta z Austrii, Niemiec i Francji. Książka stanowi rezultat badań naukowych prowadzonych przez instytut pedagogiczny uniwersytetu we Fryburgu z udziałem wielu wyższych duchownych i dyrektorów seminariów. Wartość książki polega nie tyle na rewelacyjności zawartych w niej cyfr i faktów, ile na ich precyzyjności i statystycznym ujęciu. Potwierdza ona w dużej mierze sądy nie znajdujące dotąd statystycznego oparcia i z tego względu stanowi materiał mogący zainteresować nie tylko profesorów seminariów, lecz także duchownych trudniących się pracą pedagogiczną, a nawet — jak mówi dwutygodnik katolicki „Informations catholiques internationales", z którego czerpiemy dane poniższe — każdego ojca i matkę.

Ankieta stwierdza przede wszystkim, że miasto wydaje więcej księży niż wieś. W Szwajcarii około 50% księży pochodzi ze wsi, w pozostałych trzech krajach — tylko 36,3%. Warstwy średnie, chłopskie, przemysłowe i rzemieślnicze dostarczają więcej księży niż warstwy urzędnicze, nauczycielskie lub kupieckie. Interesujący jest związek między zamożnością rodziców a liczbą synów obierających stan kapłański. Rodziny bogate wydają względnie mało księży: 0,7 % w Szwajcarii i 1% w pozostałych trzech krajach; rodziny zamożne — 11,8% i 15,3 %, średnio zamożne — 71,5% i 58,7%, żyjące w niedostatku — 13,6% i 20,9%, żyjące w nędzy — 2.4% i 4,1%. Nie sprzyjają zatem powołaniu kapłańskiemu zarówno bogactwo jak i nędza.

Ogromna większość księży pochodzi z rodzin o dużej liczbie dzieci, wynoszącej dla Szwajcarii ponad 6, dla innych krajów — 5,5. Jedynacy stanowią znikomy odsetek księży. Wyraźny wpływ na obiór powołania kapłańskiego ma przynależność ojca do stronnictw katolickich, konserwatywnych lub chrześcijańsko - społecznych; ojcowie 77,7% i 60,2% księży należeli do takich właśnie stronnictw. Rodziny socjalistyczne wydają mało księży: 0,5% i 2%. To samo dotyczy uczestnictwa głowy rodziny w ruchu zawodowym. Nie mniejszy wpływ ma atmosfera religijna ogniska domowego: 97,9% księży ze Szwajcarii i 96,4% z trzech innych krajów pochodzi z rodzin czysto katolickich.

Wpływ wychowania szkolnego jest mniejszy niż wpływ rodziny, o ściśle dane tu jednak trudno ze względu na wielką różnorodność szkół i systemów szkolnych. Duże znaczenie ma natomiast przynależność do katolickich organizacji młodzieży.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ogromna większość uczestników ankiety (96,5% i 84,4%) wypowiedziała się za obowiązkową służbą wojskową kandydatów na duchownych. Ważne jest, ich zdaniem, aby przyszli kapłani poznali „surową rzeczywistość życia".

Mówiliśmy dotychczas o czynnikach zewnętrznych mniej lub więcej sprzyjających powołaniu kapłańskiemu; nie mniejsze znaczenie mają czynniki wewnętrzne, jak wrodzone uzdolnienia, temperament, problemy moralne. Ankieta wskazuje, że większość księży nie ujawniała tendencji do specjalizacji w jakiejkolwiek dziedzinie nauki, oddając pierwszeństwo przedmiotom humanistycznym, jak historia, filozofia, literatura. Niewielki tylko procent ujawnił bliższe zainteresowania naukami przyrodniczymi: 8,7% w Szwajcarii i 6,7% w pozostałych trzech krajach; nieco większy — 9,6% i 8,4% — językami martwymi, najmniejszy — nauczaniem religii (2,4% i 2,8%). To ostatnie zjawisko znajduje wytłumaczenie w dużej ilości niezadowolonych ze sposobu nauczania religii i personelu nauczającego; odsetek niezadowolonych wynosi 55,6% i 57,7%.

Materię delikatną stanowi problem seksualny. 69,3% i 63,9% księży przyznało się do dużych trudności w tej dziedzinie w okresie dojrzewania; u 47,3 % i 33,2% trudności te zachwiały czasowo powołaniem. Przyczyną ciężkich przeżyć na tle seksualnym były, zdaniem licznych uczestników ankiety, niewłaściwe metody wychowawcze.

Co się tyczy celibatu, to 41,9% i 40,2 % widzą w tym obowiązku ofiarę względnie niewielką, lecz są to przeważnie ci, którzy nie mieli doświadczeń erotycznych w swej młodości. Inni (55,6% i 58,3%) przyznają otwarcie, że była to dla nich ofiara kosztowna.

76,2% osób zapytywanych powzięło decyzję poświęcenia się stanowi kapłańskiemu już w dzieciństwie, wielu przypomina sobie dokładnie chwilę uświadomienia sobie tej decyzji; 25,7% i 25,6% przypisuje ją wpływowi księży w swym otoczeniu.

Motywy wyboru powołania miały u 39,3% zakonników i 22,9% księży świeckich charakter wyłącznie religijny; większość jednak (59,5% księży świeckich i 36,8% zakonnych) oświadczyła, że kierowały nimi oprócz motywów religijnych także społeczne: posłannictwo apostolskie, służba dla ludzkości, praca dla młodzieży.

HENRYK SIENKIEWICZ

KRZYŻACY

2 tomy. Stron 846. CENA 13/6

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY »VERITAS«
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

NOWE KSIĄŻKI

„MIŁOŚĆ PRABABKI"

Pośród szerokiej fali literatury wspominkowej, jaka wydaje się być specjalnością naszej emigracji, wyróżniła się w ostatnim czasie nowa powieść Marii Kasterskiej „Miłość Prababki", którą w skrócie drukowało „Słowo Polskie". Nazwisko autorki znane jest czytelnikowi polskiemu jeszcze sprzed wojny: jej artykuły, studia i eseje ukazywały się w „Bluszczu", „Świecie" i „Tygodniku Ilustrowanym". Wygnanie nie przerwało jej działalności literackiej, chociaż przeniosło ją na teren francuski: pisuje do „Nouvelles Litteraires", „Mercure de France", „La Revue". Za poradą znanego etnologa Ernesta Leroux wydaje pięknie opracowane legendy podlaskie, tłumaczone też na inne języki m.in. na... japoński. Również w Paryżu nakładem „La Bonne Presse" wyszła jej powieść historyczna o królowej Jadwidze pt. „Les lys d'Anjou en Pologne" i cieszyła się znacznym powodzeniem. Kasterska jest wielbicielką i znawczynią literatury francuskiej, a wpływ na nią wywarli autorzy tak krańcowo różni jak Charles Peguy i Henri de Montherlant.

Gdy bierzemy do ręki ostatnią jej książkę, doznajemy uczucia podobnego do tego, jakie pojawia się przy otwarciu albumu rodzinnego z dawnej przeszłości. Kartki starego albumu kryją w sobie delikatny zapach lawendy i zwiędłej róży, wyblakłe fotografie wzruszają nas i rozśmieszają na przemian, czasem wstrząsem jest przypomnienie, że gdyby nie ci właśnie nasi pradziadkowie z zabawnymi wąsami i prababki w koronkach i ogromnych kapeluszach — to nie byłoby nas na świecie. Odnajdujemy w ich twarzach ślady naszych wad, zdolności, słabostek — i oto słowa wyświechtane i nadużyte, jak „ciągłość", jak „tradycja" stają się bliskie, zrozumiałe i ważne.

Podobnych wzruszeń dostarcza nam „Miłość Prababki" — powieść trzystronicowa — ukazująca życie dworu polskiego na przestrzeni pół wieku — od roku 1849, poprzez tragiczny okres powstania styczniowego aż do roku 1904. Jest to wcale zręczna próba rekonstrukcji obyczajowej epoki owianej wichrem romantyzmu i to zarówno w dziedzinie politycznej jak i osobistej. Miłość Maryli Wereszczakówny i Mickiewicza przez swoją wyjątkowość stworzyła modę postępowania w dziedzinie uczuciowej. Bohaterka powieści Wanda Wykowska znajduje się w sytuacji podobnej: rodzice nie pozwalają jej wyjść za mąż za ubogiego korepetytora i ich sprzeciw oraz małżeństwo z człowiekiem obojętnym łamią życie kobiecie, której jedyną pociechą będzie odtąd religia. Nad Wandą zresztą zaciążyło coś więcej niż różnice społeczne i towarzyskie uprzedzenia — wisi nad nią przekleństwo rodowe, skazujące panny Wykowskie na brak szczęścia osobistego aż do chwili, gdy wina zostanie odkupiona.

Powstanie styczniowe — podobnie jak w „Leśniku" Kuncewiczowej — pokazane jest tylko epizodycznie, o ile zahacza bezpośrednio o życie rodziny Wykowskich. Jest w tym chwalebny umiar, zwłaszcza, że krótkie sceny niespodziewanych odwiedzin, rewizyj, echa prześladowań mówią same za siebie i nie potrzeba być wcale w samym ogniu powstania, żeby zrozumieć jego doniosłość i tragedię. Historia Heleny jest przykładem, jak jeden celnie wybrany przykład osobistego cierpienia może się stać skrótem — niemal symbolem — sytuacji ogólnej narodu i pokazać koszmar rosyjskiego ucisku stokroć prawdziwiej, niż gdyby autorka zabrała się do opisania wszystkich egzekucji w warszawskiej cytadeli. Zresztą postać Heleny należy do najżywszych i najbardziej udanych — jest w niej coś z Sienkiewiczowskiej Baśki, pełnej zadzierżystego uroku, którego nie potrafiła przygasić na długo tragedia osobista. Helena jest tryumfem sarmackiej żywotności i tego wdzięku, z którego słynęły Polki w ostatnim stuleciu — przy niej postać Wandy wydaje się zbyt już „przeromantyzowana", papierowa. Helena ma w żyłach prawdziwą krew, a tamta jest postacią utkaną z promieni księżyca.

Udała się zresztą Kasterskiej rzecz znacznie trudniejsza niż przekonywujący rysunek postaci zwłaszcza drugoplanowych: mam na myśli rzecz dla powieściopisarza najtrudniejszą, mianowicie zjawisko przepływania czasu. Łatwo jest pokazać akcję na przestrzeni lat kilku, albo nawet kilkunastu. Ale przekonywujące przedstawienie kilku pokoleń, to sprawa o wiele trudniejsza. Kiedy powieść się zaczyna, Helena jest młodą dziewczyną — gdy się kończy, od śmierci staruszki Heleny upłynął już czas jakiś. W międzyczasie widzimy ją jako młodą mężatkę, niepocieszoną wdowę, powtórną mężatkę i wreszcie starą kobietę. I za każdym razem, gdy się pojawia, świadomi jesteśmy jakiejś drobnej zmiany w niej samej, a przez nią i w jej otoczeniu: a to jedna więcej zmarszczka zjawiła się na jej twarzy, a to jej błyskotliwy humor już nie ten jest, co dawniej, a to niepohamowane gadulstwo — to już niechybna oznaka posuwania się w latach. Wanda zawsze jest tak samo piękna i zimna, zarówno na łożu śmierci, jak wśród żyjących; ale przez Helenę — żywą — przepływa strumień czasu i przez nią właśnie autorka odtwarza nieuniknione narastanie lat.

Książka oprócz opowiadania dziejów rodziny Wykowskich jest także próbą — co prawda bardzo nieśmiałą — apologii roli szlachty polskiej w rozbiorach i upadku Polski. „I nie wina szlachty polskiej, że nas rozebrano. Siła złego na jednego... nec Hercules contra plures". Albo: „Mam już po same uszy tego ciągłego kajania się i tego samobiczowania się polskiej szlachty. Pewnie, że bez win nie była. Ale miała i pozostawiła nam silne poczucie własnej godności narodowej i własnej indywidualności. Oburzają się na nasze liberum veto. Ani słowa, pewnie, że go nadużywano. Lecz jest coś wspaniałego w tym, że jeden człowiek mógł zatrzymać swoją wolą wolę całego narodu...." Zważywszy, że nie mówi tego pan Leopold, który pomimo że jest postacią sympatyczną, nie był od tego, aby wydać Wandę przemocą za człowieka niekochanego, ale pan Wincenty, pół-Francuz, patriota polski, więziony przez Rosjan i człowiek znający Europę, który nie przypomina ani trochę Zagłoby i który wady polskie musiał znać z perspektywy oddalenia — można oczekiwać, że wielu czytelników nie zgodzi się tutaj z autorką i że książka gotowa nie tylko dostarczyć przyjemności zanurzenia się w odległą, wyidealizowaną przeszłość, ale także wywołać — co byłoby może z pożytkiem — poważną dyskusję na wiecznie aktualny temat spuścizny szlacheckiej narodu.

A. P.

„CZAS ODKUPIONY"

Po wyjątkowo pięknych poezjach religijnych Władysława Pelca („Lata Miłościwe", Florencja, 1954) objawił się w Rzymie inny poeta religijny, Polak, seminarzysta Tadeusz Kęsik. Jego miniaturowy, pięknie wydany, jako rękopis, tomik*) CZAS ODKUPIONY obejmuje zaledwie 17 utworów. Na ich świeże skondensowane metafory zwrócił uwagę poeta-krytyk, krytyk wymagający M. Pankowski w „Kulturze".

Są to pieśni, wyznania i modlitwy o wielkiej szczerości, szczęśliwie zmagające się, by uniknąć tak łatwej w poezjach religijnych banalności, z trudnym w poetyckich modlitwach słowem, tym trudniejszym dla piszących — po Kasprowiczu. Wprawdzie tu i ówdzie rażą rymy gramatyczne lub niedostrzeżona czy zlekceważona arytmia psująca muzykę wiersza, ale szczerość przyznająca się do niemocy słowa wobec Boga, jest prawdziwym walorem. Oto przykład, a zarazem echo modlitwy św. Teresy:

Nic Ci nie umiem powiedzieć,
Nawet powiedzieć nie umiem
Jak wielka jest moja rozterka,
Jak bardzo nic nie rozumiem.
I tylko jedną mam pewność
Oświetlającą mi drogę:
Wiem, że się modlę do Ciebie
Tym że się modlić nie mogę.

(„Modlitwa utrudzonego")

Już samą oryginalną „Modlitwą pisarza" wkupił się Tadeusz Kęsik w bractwo poetów polskich — więc go jak brata witamy.

Józef Andrzej Teslar

*) **CZAS ODKUPIONY. Wiersze.** Rzym, Rok Maryjny 1954 (Imprimatur). Na prawach rękopisu. 16°, str. 35.

REGULARNIE WPŁACANA PRENUMERATA JEST PODSTAWĄ EGZYSTENCJI PISMA

Powodzenie powieści Hartley'a

Powieściopisarz angielski L. P. Hartley zdobył nagle sławę książką, napisaną przezeń w pięćdziesiątym ósmym roku życia. Jest to powieść „The Go-Between", która była „bestsellerem" na rynku książkowym brytyjskim w r. 1953 i od tego czasu osiągnęła łączny nakład ponad 50.000 egz. Powieść ta — jak stwierdza „Figaro Littéraire" — przetłumaczona została na wszystkie języki z wyjątkiem hiszpańskiego. Przekład francuski ukazał się niedawno pt. „Le Messager" nakładem firmy Amiot — Dumont.

W Irlandii — wedle relacji „Figaro Littéraire" — powieść została zakazana przez władze z powodu sceny, w której dziecko zaskakuje parę kochanków. W związku z tym warto zaznaczyć, że władze brytyjskie w dalszym ciągu nie pozwalają na wydanie pełnego tekstu powieści, nieżyjącego już pisarza D. H. Lawrence'a „Lady Chatterley's Lover", ogłoszonej po raz pierwszy w r. 1928. Za to w Paryżu znalazł się przedsiębiorczy wydawca, który powieść tę wydał w tekście angielskim bez obcięć, przeprowadzonych przez władze brytyjskie, by ją kolportować wśród licznych nad Sekwaną turystów angielskich.

Jeśli jednak chodzi o Hartley'a, to w Anglii i gdzie indziej rzecz jego nie wzbudziła żadnych zastrzeżeń i niewątpliwie trudno go nawet w tym zakresie porównywać z Lawrencem.

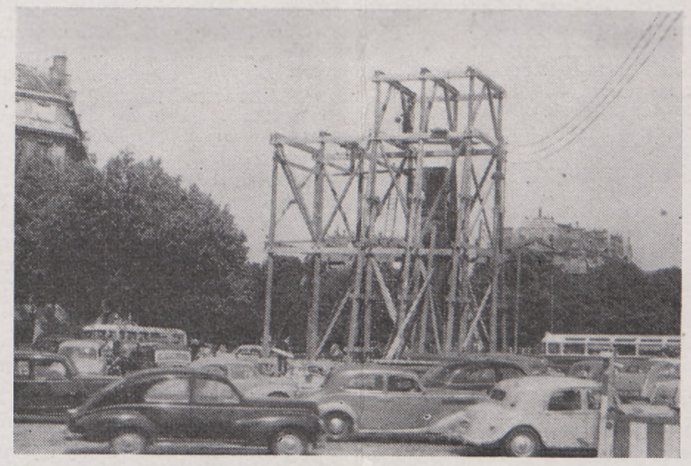

Roboty na placu Alma w Paryżu spowodowały czasowe usunięcie pomnika Adama Mickiewicza.

Z LITERATURY FRANCUSKIEJ

SARTRE OSAMOTNIONY?

Mija w tym roku dziesięć lat od założenia miesięcznika „Temps Modernes". Z założycieli pisma pozostali w redakcji już tylko Jean-Paul Sartre i jego żona, Simone de Beavoir. Pierwszy rozstał się z Sartre'em Raymond Aron, który przyłączył się do ruchu generała de Gaulle i jest dziś naczelnym publicystą „Figara". Następnie odszedł do „Nouvelle Revue Française" Jean Paulhan, by poświęcić się „czystej literaturze". Merleau-Ponty współpracował z Sartre'em najdłużej, ale odkąd został profesorem Sorbony oddalał się od niecoraz bardziej, aż napisał przeciwko niemu całą książkę, o której jeszcze będzie mowa. Należy też przypomnieć, że do zespołu „Temps Modernes" należał David Rousset, który wsławił się później swoją akcją przeciw łagrom sowieckim, a także Murzyn amerykański Richard Wright. Ci dwaj oddalili się od Sartre'a najbardziej, bo przeszli wręcz do obozu bojowego antykomunizmu, zgrupowanego wokół Koestlera. Powieść Koestlera „Ciemność w południe" spotkała się w swoim czasie z bardzo zdecydowaną odprawą Merleau-Ponty'ego, który napisał o niej książkę pt. „Humanizm i terror".

Szeroka publiczność pamięta o „Temps Modernes" głównie jako o piśmie, które usiłowało związać inteligencję francuską z ruchem komunistycznym. Zapomina się, że dziesięć lat temu miesięcznik ten miał zupełnie inny program. Zaraz w pierwszym numerze redakcja postawiła sobie za zadanie „walkę z owym duchem profetyzmu, który zmusza współczesnych do ślepego wyboru". Nawet sympatycy komunizmu starali się zachować niezależność od akcji komunistów i wierzyli, że mogą służyć równocześnie literaturze i polityce. Czasy powojenne były zresztą okresem wielu złudzeń. Sekretarz kompartii, Thorez, jako wicepremier w rządzie gen. de Gaulle, podpisywał odezwy do robotników wzywające ich do wzmożenia wysiłku produkcyjnego. Lewica francuska ożywiona była wielkimi nadziejami. Wydawało się, że świta lepsze jutro i że świat zmienia skórę.

W tej to atmosferze egzystencjaliści z „Temps Modernes" wprowadzili termin „literatura zaangażowana". Ten termin miał stać się główną przyczyną nie tylko rozbicia grupy na komunistów i antykomunistów, ale także wielkiego zamętu pojęć na temat stosunku literatury i polityki. „Literatura zaangażowana" miała być kamieniem filozoficznym XX wieku. Rychło jednak okazało się, że pisarz, który się „angażuje", bo godzi się z celami polityki, traci prawo do krytyki środków, stosowanych przez polityków, bo nie do niego należy ustalanie strategii i taktyki politycznej. Politykowi nie wystarczy, że pisarz rezygnuje z krytyki celów, żąda on, by godząc się na cel, pisarz pogodził się także z taktyką i by jego krytyka — zawsze pożądana — trzymała się ram tej taktyki. A ponieważ w naszych czasach taktyka jest tak elastyczna, że nieraz popada w sprzeczność z celami, więc słowo — jedyne tworzywo pisarza — po prostu traci sens. To doświadczenie mieli, każdy na swój sposób, zrobić członkowie grupy „Temps Modernes".

Prawdy te stały się oczywiste w ciągu niecałych czterech lat. Sartre i jego towarzysze szukali więc wyjścia z potrzasku i stworzyli organizację polityczną, w której nawet taktyka miała podlegać dyskusji, a więc swobodnej krytyce. W roku 1949 Sartre i Rousset zakładają Demokratyczne Zrzeszenie Rewolucyjne (Rassemblement Démocratique Révolutionnaire), które miało być lewicowe, ale ani komunistyczne ani antykomunistyczne. Na pierwszym swoim wiecu organizatorzy Zrzeszenia odnieśli pełny sukces. Niebawem jednak okazało się, że piękny program przyciąga tylko inteligencję, ale nie trafia do mas. Mandaryni wnet poezji, że zawiśli w próżni. Łatwo było oskarżyć partię komunistyczną, że jest piątą kolumną Sowietów, a doktrynę komunistyczną zdemaskować jako narzędzie sowieckiego imperializmu, ale dziwnie trudno było przekonać robotnika, że partia go zdradziła i poświęca jego interesy na ołtarzu rosyjskiej racji stanu.

Sartre okazał się tu człowiekiem rozpaczliwej konsekwencji. Rozumiał, że jeżeli nie zdobędzie mas robotniczych, będzie musiał połączyć się z partią, która zdaje się mieć monopol na lojalność mas. „Nie chodzi wcale o to, żeby wyciągać rękę do Stalinowców — pisał w maju 1949 roku — owszem, trzeba ich zwalczać na ich własnym terenie, tj. na terenie rewindykacji robotniczych." Oczywiście były to już tylko słowa. Mauriac szydził ze złudzeń Sartre'a, że potrafi rozbić taką machninę jak opanowana przez komunistów Powszechna Konfederacja Pracy (CGT). „Nie mamy wątpliwości, że dokona cudów" — pisał w „Figarc". Sartre cudów nie dokonał i dał za wygraną. Przekonał się, że na prawdziwą partię rewolucyjną nie ma we Francji miejsca i że monopolu kompartii na rewolucję złamać nie można. Ale miną jeszcze cztery lata zanim pojedzie na Kongres Pokoju do Wiednia i zacznie pisać panegiryk na cześć kompartii pt. „Komuniści a pokój", upierając się zresztą przy pozostawaniu poza organizacją partyjną.

Przedtem jednak on i Merleau-Ponty rozejdą się z Roussetem z powodu ogłoszenia przez tego ostatniego dokumentów o sowieckich obozach pracy. System, który posługuje się takimi środkami, jest zły — mówili — ale zły system nie kompromituje celów politycznych, którym służy. Rousset zwalcza ideę rewolucji, gdy atakuje system sowiecki. Jest to wylewanie dziecka z kąpielą. I obaj zgłosili swą solidarność z Moskwą „mimo dziesięciu milionów deportowanych, mimo głupoty i cenzury, mimo paniki pokajań". Sartre nie wyjdzie już z błędnego koła, w jakim zamknął się tym aktem rozpaczliwej solidarności z komunistami. Nie miną jednak dwa lata, gdy opuści go ostatni towarzysz, Merleau-Ponty, który w „Przygodach dialektyki", książce wydanej w bieżącym roku, określi go jako „ultra-bolszewika".

Merleau-Ponty stracił sympatię dla komunistów, gdy w roku 1950 wybuchła wojna koreańska. „Być może, Sowiety nie pragnęły tej wojny i nie wywołały jej — pisze — ale skoro potrafiły położyć jej kres, mogły jej także zapobiec." Hasła komunistyczne, które uwalniają Sowiety od odpowiedzialności za tę wojnę, są więc kłamstwami. Kto chce współpracować z kompartią, jak Sartre, nie może uniknąć powtarzania tych kłamstw. Podczas gdy dla polityka takie kłamstwo jest tylko taktyką, dla pisarza jest ono zdradą. Pisarz nie może poświęcać prawdy dla taktyki. Sartre ma więc do wyboru: wstąpić do partii i kłamać na rozkaz albo pisać prawdę i demaskować zbrodnie komunistów. Ale wstępując do partii i kłamiąc na rozkaz, Sartre przestałby być pisarzem, a pozostając poza partią i starając się nie kłamać, musi partii szkodzić.

Tak więc kamień filozoficzny XX wieku nie istnieje. Polityka i literatura nie dadzą się pogodzić. Dobra polityka musi być złą literaturą, dobra literatura — złą polityką. „Literatura zaangażowana" nie określa związku, jaki zachodzi między literaturą a polityką, bo zamienia w nonsens albo literaturę albo „zaangażowanie". Odnosi się to zresztą także do literatury antykomunistycznej. Broniąc swej wolności, pisarz zmuszony będzie walczyć na dwa fronty, dopóki nie zrodzi się polityka, oparta na całej prawdzie.

E. A.

NOWOŚĆ!
KSIĄŻKA DLA DZIECI
Z. Kozarynowa
O BRACIACH KŁÓTNIKACH I WESOŁEJ BASI
Stron 316. Oprawa. Ilustracje. Cena 15/-
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS
12, Praed Mews, London, W.2.

W KRĘGU CONRADA

CONRAD - KORZENIOWSKI - PO POLSKU

W ciągu sierpnia b. r. ukaże się na półkach księgarskich powieść Józefa Conrada Korzeniowskiego „W oczach Zachodu" w tłumaczeniu dra Wita Tarnawskiego. Powieść wychodzi w cyklu wydawniczym „Biblioteka Polska"; wydanie tomu opóźnione zostało przez chorobę tłumacza.

W związku z tym nowym tłumaczeniem Conrada dajemy poniżej bilans tłumaczeń na język polski dzieł wielkiego pisarza. RED.

Ukazało się niedawno w Warszawie polskie tłumaczenie powieści Conrada Korzeniowskiego „Los", której oryginalny tytuł angielski brzmi „Chance". Przekładu dokonała Wanda Tatarkiewiczowa, a „posłowie" napisała Róża Jabłkowska. W przeciwieństwie do wywodów Jana Kotta, który kilka lat temu na łamach „Twórczości" próbował scharakteryzować Conrada jako typowego wyrazciela umysłowości kapitalistycznej i nieledwie agenta brytyjskich armatorów, Jabłkowska podkreśla trafnie ostro negatywny stosunek Conrada do wszelkich form wyzysku kolonialnego i wyzysku człowieka w ogóle — co najsilniejszy wyraz znalazło w opowiadaniu „Jądro ciemności". Natomiast twórczość Conrada na pewno daleko wybiega poza ramy literatury „marynistycznej"; za dużo o tym jego „marynizmie" w „posłowiu".

Polskie przekłady dzieł Conrada mają już za sobą wcale urozmaiconą historię. Pierwszą wśród nich pozycję stanowił „Wygnaniec" (później przemianowany na „Wykolejeńca") — przekład drugiej z kolei powieści Conrada, której tytuł angielski brzmi „An Outcast of the Islands". Tłumaczenie to, dokonane przez Marię Gąsiorowską, drukowane było w dodatku do warszawskiego „Tygodnika Mód i Powieści" począwszy od stycznia 1897 r., a więc prawie zaraz po ukazaniu się, w r. 1896, oryginału angielskiego. Dłużej, bo cztery lata, czekał na przekład „Lord Jim". Tłumaczenie tej powieści, dokonane przez Emilię Węsiawską, ukazało się w r. 1904 w dwóch tomach w Bibliotece Dzieł Wyborowych. W tejże samej Bibliotece Dzieł Wyborowych pojawia się w r. 1908 przekład „Tajnego agenta"; tłumacz (czy tłumaczka) ukrywają się pod inicjałami M. G.

Na tym bodaj wyczerpuje się lista przekładów z Conrada, ogłoszonych przed pierwszą wojną światową. Wielką jest zasługą kuzynki Conrada, Anieli Zagórskiej, że wkrótce po wojnie podjęła wydawnictwo jego „Pism Wybranych", zaczynając od „Fantazji Almayera" („Almayer's Folly"); tłumaczyła ją sama Zagórska (podobnie jak szereg innych utworów Conrada), a przedmowę inaugurującą cały zbiór napisał Stefan Żeromski. W ciągu lat 1923-25 ukazało się w tym zbiorze nakładem firmy „Ignis" — E. Wende i Ska w Warszawie — kilkanaście tomów przekładów; ostatnim było wydane w r. 1925 tłumaczenie „Smugi cienia".

Przekłady cieszą się dużą poczytnością; niektóre z nich mają po kilka wydań. Zapada decyzja, by „Pisma Wybrane" zamienić na „Pisma Zebrane" — a więc tłumaczeniem objąć wszystkie utwory Conrada. Pisma Zebrane ukazują się od r. 1928 pod tąż samą redakcją Anieli Zagórskiej, a nakładem Domu Książki Polskiej w Warszawie.

Do Pism Zebranych włączono wydane już poprzednio w serii Pisma Wybrane tłumaczenia z pewnymi zmianami i poprawkami. Tak np. tytuł „Fantazja Almayera" zmieniony został przez Zagórską na „Szaleństwo Almayera", być może na propozycję samego Conrada, z którym Zagórska pozostawała w stałym kontakcie korespondencyjnym i osobistym i który jej (a także bodaj niektórym innym tłumaczom) czynnie pomagał w przekładach, zgłaszając poprawki i wyjaśniając wątpliwości.

Do pewnego stopnia można więc owe polskie Pisma Zebrane uważać za autoryzowane przez samego autora nie tylko w formalno-prawnym znaczeniu tego słowa.

W dziele tłumaczenia brało udział 12 pisarek i pisarzy; nie wszystkie przekłady są niestety na równym poziomie, nie brak wszakże i całkiem dobrych. Numeracja tomów odpowiada porządkowi chronologicznemu ukazywania się oryginałów angielskich. Do chwili wybuchu wojny w roku 1939 ukazały się: tom I: „Szaleństwo Almayera" (1928, tłum. A. Zagórska); tom II: „Wykolejeniec" (1936, tłum. A. Zagórska); tom III: „Murzyn z załogi »Narcyza«" (1928, tłum. Jan Lemański); tom IV: „Opowieści niepokojące" (tłum. Helena Gay i A. Zagórska; tom V: „Lord Jim" (1933, tłum. A. Zagórska); tom VI: „Młodość. Jądro ciemności" (1930, tłum. A. Zagórska); tom VII: „Tajfun" (1928, tłum. Jerzy Bohdan Rychliński); tomy IXa i IXb: „Nostromo" (1928, tłum. Stanisław Wyrzykowski); tom X: „Zwierciadło morza" (1935, tłum. A. Zagórska); tom XI: „Tajny agent" (1939, tłum. A. Zagórska); tom XII: „Sześć opowieści" (1938, tłum. Wilam Horzyca, Leon Pawiński i Tadeusz Pułjanowski); tom XIII: „W oczach Zachodu" (1934, tłum. H. J. Pajzderska); tom XIV: „Między lądem a morzem" (1929, tłum. Jan Lemański, J. B. Rychliński i A. Zagórska); tom XV: „Ze wspomnień" (1934, tłum. A. Zagórska); tom XVII: „Wśród prądów" (1928, tłum. Teresa Tatarkiewiczowa); tom XVIII: „Zwycięstwo" (1931, tłum. A. Zagórska); tom XIX: „Smuga cienia" (1930, tłum. J. Sienkiewiczówna); tom XXI i XXIa: „Ocalenie" (1929, tłum. A. Zagórska); tom XXIII: „Korsarz" (1929, tłum. J. B. Rychliński); tom XXIV: „Opowieści zasłyszane" (1928, tłum. Teresa ks. Sapieżyna i Stanisław Wyrzykowski).

Do chwili wybuchu wojny nie ukazał się tom VIII Pism Zbiorowych, obejmujący powieść „Romance" (po polsku można to przetłumaczyć tylko przez „Romantyczna przygoda"), pisaną wspólnie przez Conrada i Forda Maddoxa Hueffera. Nie wiadomo, czy wydanie miało obejmować także przekład innego wspólnego utworu obu pisarzy, mianowicie powieści „Inheritors", w której — w przeciwieństwie do „Romance" — dominuje wpływ Forda. Na pewno natomiast nie zamierzano włączać do zbioru trzeciej rzeczy, pisanej wspólnie przez Conrada i Forda, mianowicie „The Nature of a Crime"; krótki ten utwór Conrad uważał za błahy i nieudany i nie zgodził się na włączenie go do angielskiego zbiorowego wydania swych dzieł.

W Pismach Zbiorowych były jednak jeszcze inne „dziury", które niewątpliwie zostałyby wypełnione, gdyby nie wojna. Brak było mianowicie tomu XVI, obejmującego przekład „Chance" — pierwszej powieści, która przełamała trwającą do tej pory, mimo pochwał krytyków i recenzentów, obojętność publiczności angielskiej wobec twórczości Conrada i zapewniła mu na ostatnich dziesięć lat życia sławę i powodzenie. Pierwotny tytuł przekładu polskiego miał brzmieć „Traf", co nie dźwięczało pięknie, ale bardziej odpowiadało istotnemu znaczeniu tytułu angielskiego. Ostatecznie, jak widzimy, zdecydowano się na mniej dokładny, ale ładniej brzmiący „Los" — stało się to jednak dopiero po wojnie.

W przedwojennych Pismach Zbiorowych brakowało też przekładu „Złotej strzały", dla której przeznaczony był tom XX. Dalsze, po tomie noszącym cyfrę porządkową XXIV, pozycje miały obejmować prawdopodobnie zbiór essayów i artykułów pt. „Uwagi o życiu i literaturze" („Notes on Life and Letters"), oraz dwie rzeczy, które wyszły już po zgonie Conrada: fragment powieści z czasów napoleońskich „W zawieszeniu" („Suspense"), w trakcie pisania której Conrada zaskoczyła śmierć, oraz zbioru „Ostatnie szkice" („Last Essays").

Być może redaktorka Pism Zbiorowych zamierzała wydać na końcu także tom, zawierający trzy utwory dramatyczne Conrada: „Tajny agent", „Śmiejąca się Anna" i „Jutro" — nie mamy jednak co do tego informacji. W każdym razie Pisma Zbiorowe Conrada objęłyby, gdyby nie katastrofa 1939 roku, 27 tomów, a być może 28 — wyszło ich 20.

W czasie okupacji niemieckiej — jak wiadomo z licznych relacji — pisma te były najbardziej przez młodzież, zwłaszcza młodzież ruchu podziemnego, pożądaną i poszukiwaną lekturą. Dosłownie „zaczytywano" je na strzępy, tak że po wojnie egzemplarze dzieł Conrada stały się w Kraju rzadkością. Odpowiadały widocznie potrzebie duchowej walczącego młodego pokolenia, wojny i w ciągu dwóch lat powojennych dzienie przedruków, dokonanych staraniem Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu we Włoszech oraz innych organizacji polskich za granicą pod koniec wojny i w ciągu dwóch lat powojennych. Ogółem ukazało się w latach 1945-47 dwanaście tomików przekładów, drukowanych w Rzymie lub Jerozolimie. Pojawiło się nadto w r. 1945 w Jerozolimie nowe tłumaczenie noweli Conrada „Książę Roman" (ze zbioru „Opowieści zasłyszane"), dokonane przez Janusza Jasieńczyka i Witolda Turno.

W Kraju, w istniejących obecnie warunkach, nie było oczywiście mowy o nowych wydaniach wszystkich powieści Conrada, ani też o kontynuowaniu i uzupełnieniu przedwojennych Pism Zbiorowych. Jednak bez nawiązania do zbioru przedwojennego wydany został w r. 1948 nakładem Instytutu Wydawniczego „Poziom" w Krakowie przekład „Złotej strzały". Z przedmowy Jana Parandowskiego dowiadujemy się, że nad przekładem tym Aniela Zagórska pracowała w czasie wojny w okupowanej Warszawie — zmarła jednak w roku 1943 nie dokończywszy tłumaczenia. Przekład doprowadziła do końca już po wojnie Jadwiga Korniłowiczowa. Obecnie zaś, jak już wspomnieliśmy, pojawiło się tłumaczenie „Losu", pomyślane pierwotnie jako tom XVI Pism Zbiorowych.

Ukazały się też w Warszawie przedruki kilku przedwojennych przekładów z Conrada, a mianowicie w r. 1949 „Lorda Jima" (w dwóch tomach) oraz, w tymże roku, „Zwierciadła morza", a w r. 1950 „Smugi cienia", poza tym zaś, bez podania daty, przedruk przekładu „Korsarza".

Cieszyć się bardzo wypada, że „Veritas" w Londynie wypuszcza już wkrótce spod prasy nowy przekład jednej z najświetniejszych powieści Conrada „W oczach Zachodu", dokonany przez dr. Wita Tarnawskiego. Przekład przedwojenny, zresztą dziś zupełnie nieosiągalny, mimo pewnych zalet posiadał również znaczne usterki.

J. Ł.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 26 czerwca 1955.

NASZE SPRAWY

O LEKCEWAŻONYM OBOWIĄZKU RODZICIELSKIM

Zwrócono się do mnie z prośbą, bym omówił ważne dla katolickich rodziców zagadnienie, jakim jest sprawa ustosunkowania się do uprawianego w wielu szkołach, do których polskie dzieci uczęszczają, tzw. „uświadamiania", to jest informowania dziatwy i młodzieży o podstawowych faktach biologicznych, dotyczących rozmnażania się ludzkiego gatunku.

„Zapotrzebowanie" na ten artykuł przyszło ze Szwecji. Ale ten sam problem istnieje też i w Anglii. Nawet w szkołach katolickich. Co mają rodzice sądzić o „uświadomieniu"? I jak się mają do niego ustosunkować?

Otóż odpowiedź na postawione pytanie brzmi w sposób kategoryczny: zadanie uświadamiania swoich dzieci jest jednym z najpierwszorzędniejszych obowiązków wychowawczych rodziców. Nie kogo innego, tylko rodziców. Zaniedbanie tego obowiązku może mieć skutki bardzo opłakane, może nawet, w niektórych wypadkach, spowodować po prostu zwichnięcie pionu życia dziecka.

Młody chłopiec, lub dziewczyna, musi mieć prawidłowo ułożony pogląd na tę podstawową dziedzinę życia ludzkiego, na związane z nią obowiązki i niebezpieczeństwa. A skoro ma mieć prawidłowy pogląd — w takim razie musi znać też i podstawowe fakty.

W warunkach życia wiejskiego, gdy dziecko samo ciągle widzi podstawowe fakty z życia zwierząt, widzi pisklęta, wykluwające się z jajek, brzemienne krowy, klacze, świnie, dojenie krów, ssanie matek przez prosięta, szczenięta, kocięta, widzi może sam fakt rodzenia się młodych zwierząt, a nawet i zapłodnienia, zagadnienie informowania dziecka o tych faktach nie jest zagadnieniem ostrym. Wiedza o tych rzeczach jakoś sama przychodzi, naturalnie i bezboleśnie, a wcześnie, tak jak przychodzi wiedza o śmierci, o chorobie i innych ważnych faktach z ludzkiego życia.

Ale w mieście — dziecko tych wszystkich zjawisk nie widzi i nie zna, Dowiaduje się o nich dopiero — gdy mu ktoś o nich powie. Może to i lepiej, jeśli to powie szkoła, w sposób rzeczowy i suchy, niżby mieli mówić zepsuci, lub po prostu zbyt przejęci tą sprawą rówieśnicy. Ale nawet najlepszy, najsubtelniejszy psychologicznie, najuczciwszy nauczyciel, czy nauczycielka nie uniknie nadania swemu wykładowi cechy czegoś natrętnego, co jest dla dziecka wstrząsem. A czy wszyscy nauczyciele są dobrzy, subtelni, uczciwi? — Zadanie to nie jest zadaniem dla szkoły; myślę, że nie popełnię z katolickiego stanowiska błędu, gdy powiem, że lepiej jest, by szkoła się tą sprawą nie zajmowała w ogóle.

Zadanie to jest obowiązkiem rodziców. Rodzice powinni to zrobić zamiast szkoły, a tam, gdzie szkoła to robi, zrobić wcześniej od szkoły. Dziecko powinno się tych rzeczy dowiedzieć od swych naturalnych wychowawców, rodziców i pod ich wpływem swój pogląd na te sprawy uformować.

Rodzice nie mogą się od tego obowiązku uchylać. Muszą to przemyśleć, przygotować się do tego i w stosownych chwilach, planowo, systematycznie to wykonać.

Jeśli rodzice nic o tych sprawach nie mówią, albo jeśli — co gorsza — dziecko zauważy, że gdy się o tych rzeczach w domu rodzicielskim mówi, to rozmowa nagle milknie, zamienia się w tajemniczy szept, albo w porozumiewawcze uśmiechy, świadczące, że się coś przed dzieckiem ukrywa, lub rozmowę odkłada na później — i jeśli dziecko się równocześnie dowiaduje tego, co chce wiedzieć, nie od rodziców, lecz od obcych, to konsekwencją tego jest w duszy dziecka świadomość, iż jest to sprawa brudna, tajemnicza, osłonięta zasłoną kłamstwa i obłudy, o której nie wiadomo co myśleć, bo nie ma nawet sposobu zbadać, co o niej rodzice — do których dziecko ma przecież tyle zaufania — myślą naprawdę.

Jest wielkim złudzeniem wyobrażać sobie, że można dziecku zamydlić oczy bajeczkami o bocianie! Może to było możliwe i może nawet miało swoje plusy w dawnych czasach, w społeczeństwie o surowej dyscyplinie obyczajów. Dzisiaj, zwłaszcza w Anglii i innych krajach Zachodu, nacechowanych przecież zupełną swobodą obyczajów, dziecko dowiaduje się wielu rzeczy prędzej, niż myślimy. Rodzicielska bajeczka o bocianie ma tylko jeden skutek: dziecko albo od razu widzi, że rodzice kłamią, albo szybko się o tym przekona. Traci do rodziców zaufanie i dochodzi do wniosku, że — przynajmniej w tej sprawie —rodzice nie są dla niego powiernikami. Będzie sobie w rezultacie szukać powierników innych. Jedna z najważniejszych dziedzin wychowania dziecka będzie więc wyłączona na stałe spod rodzicielskiego wpływu.

Cóż więc trzeba zrobić?

Trzeba dziecku wszystko powiedzieć samemu. I to powiedzieć wtedy, gdy dziecko jeszcze jest małe, gdy go te sprawy jeszcze nie interesują, i gdy wskutek tego przyjmie to, co mu się mówi w sposób naturalny, jak wszystkie inne otrzymywane wiadomości, które na nim nie robią wrażenia.

Nie należy wszystkiego mówić za jednym zamachem. Nie należy rozmowie nadawać cech uroczystego wtajemniczenia. Należy podać informacje mimochodem, przy jakiejś okazji, jakby coś błahego, na pozór zupełnie przypadkowo. Dziś można powiedzieć jedno, kiedy indziej drugie. Odstępy między rozmowami mogą trwać długo, nawet cała lata. Obowiązek uświadamiania najmłodszych dzieci spoczywa na matce. Gdy dzieci są starsze — ojciec winien rozmawiać z synem, a matka z córką. Ale lepiej jest, by ojciec rozmawiał z córką, lub matka z synem, niż by miał to robić ktoś obcy.

Pierwszą rzeczą, którą należy powiedzieć, jest noszenie nie urodzonego dziecka przez matkę w swoim łonie, a potem karmienie tego dziecka piersią. O tym powinno już wiedzieć dziecko czterc-, pięcio-, nawet trzy-letnie. Najlepiej jest powiedzieć to przy okazji, gdy dziecko samo widzi mamę, czy ciocię, czy sąsiadkę, która dziecka oczekuje. Dziecko powinno te rzeczy od najmłodszych lat rozumieć i traktować jako rzecz zupełnie naturalną, prostą i nie budzącą wątpliwości. Można mu także powiedzieć, że każdy człowiek, także i twoja mama, i twój tatuś, był kiedyś malutki i przed urodzeniem był w łonie swej mamy.

Dziecku starszemu można powiedzieć, że są matki, które nie chcą mieć dziecka i że je w swoim łonie zabijają, co jest straszliwą zbrodnią, właściwie gorszą jeszcze od umyślnego, uplanowanego morderstwa, bo dziecko umiera nie ochrzczone. Należy to powtarzać, później od czasu do czasu również i młodzieży dorastającej — by urobić prawidłowe poglądy moralne.

Wszystko to jest proste i łatwe. Istotna trudność zjawia się dopiero, gdy trzeba powiedzieć o problemie zapłodnienia.

Należy to zrobić, myślę, nie później, niż gdy dziecko ma lat osiem, dziewięć, czy dziesięć.

Najlepiej wszcząć rozmowę o kwiatach, o słupkach i pręcikach w kwiecie, o pyłku, który zapyla słupek, o pszczołach, które pyłek przenoszą. Można wtedy wspomnieć mimochodem, że u zwierząt, a nawet u ludzi, jest podobnie i że dziecko poczęte jest w łonie matki, gdy zapłodni je pyłek, powstały w ciele ojca. Na tym najlepiej na razie urwać.

Później, można do rozmowy tej wrócić. Zanim dziecko wejdzie w okres dojrzewania, a więc zanim osiągnie, powiedzmy, lat trzynaście, czy czternaście, trzeba mu powiedzieć, że zapłodnienie odbywa się w małżeństwie, wśród pieszczot i pocałunków. Jest ono głównym celem małżeństwa i jest samo w sobie aktem wzniosłym i pięknym. Ale są ludzie, którzy doprowadzają do zapłodnienia, nie będąc małżeństwem. I to jest wielkim i ciężkim grzechem. Skutkiem tego grzechu rodzą się dzieci nie ślubne, pozamałżeńskie. Chłopcu warto jest powiedzieć, że grzech ten jest większym grzechem u mężczyzny, niż u kobiety, gdyż kobieta okupuje go przez całe życie wstydem nieślubnego macierzyństwa, a mężczyzna żadnych konsekwencji nie ponosi. W dzisiejszym, pogańskim świecie, w wielu kołach męskiej młodzieży panują w tych sprawach poglądy bardzo niemoralne; pewnie się z tymi poglądami nieraz w życiu spotkasz. Pamiętaj jednak, że są to poglądy złe i grzeszne i że katolik poglądów takich podzielać nie może. Dla katolika i w ogóle dla moralnego człowieka ta dziedzina życia ograniczona jest tylko do ram małżeństwa.

Dziecko może być ciekawe bliższych szczegółów. Można mu coś odpowiedzieć w sposób bardzo ogólnikowy, lepiej jednak powiedzieć, że: na razie ci na to nie odpowiem; nie potrzebujesz o tym wiedzieć wszystkiego, bo sekrety pożycia małżeńskiego są rzeczą intymną, którą najlepiej jest poznać w samym małżeństwie. Taką otwartą odmowę informacji dziecko zrozumie i z zaufaniem przyjmie.

Dziecku trzynasto-, czternasto-letniemu trzeba powiedzieć, że jest to dziedzina, o której trzeba się starać jak najmniej myśleć. Natura ludzka jest tak stworzona, że człowiek jest skłonny do myślenia o tych sprawach, trzeba jednak nad tym panować, gdyż myślenie to może być grzechem, a nawet mieć skutki szkodliwe dla zdrowia. Trzeba tu wspomnieć o niebezpieczeństwie samogwałtu. Synowi dorastającemu, prawie dorosłemu, trzeba dać do przeczytania jakąś książkę, uczącą czystości myśli i uczynku, np. po angielsku „The Difficult Commandment", o. Martindale, jezuity (cenia 1/6). I synom i córkom trzeba powiedzieć o szkodliwości flirtu, pocałunków, które pobudzają zmysły, osłabiają odporność woli, brukają wyobraźnię i prowadzą na drogę, która wiedzie do ostatecznego upadku.

Gdy się od najmłodszych lat o tych rzeczach z dzieckiem rozmawia — doprowadza się do ustalenia z tym dzieckiem stosunku, opartego na zaufaniu. Również i później, syn czy córka, zaufanie to zachowa, będzie się rodzicom zwierzać, radzić się, pytać, rozstrzygać swoje wątpliwości. Może mieć dzięki temu od rodziców wielką pomoc moralną w życiu.

Oczywiście, wszystkie te rozmowy muszą być niezmiernie oględne, dobrze przemyślane, dyskretne, nie za częste, — raczej bardzo rzadkie — krótkie i szybko kończone. Muszą być prowadzone naturalnym tonem i nie mieć w sobie nuty dociekania, śledztwa, karcenia, zarówno jak nuty przejęcia się niezwykłością tematu. Muszą także być tak ujęte, by nie nadwerężały dziecięcej wstydliwości.

Bo obok rozumienia tych spraw i zajmowania w nich prawidłowego stanowiska moralnego, rodzice winni wpoić swoim dzieciom jedną rzecz niezmiernie ważną: poczucie wstydu. Epoka dzisiejsza jest epoką głębokiego załamania się skromności i wstydu. Musimy nasze dzieci, nasze córki, naszych synów, nauczyć skromności w słowie, w geście, w spojrzeniu, w ubiorze. A to się osiąga — słowem i przykładem. To znaczy wielką dbałością o to, by samemu niczym w tych sprawach przeciwko uzasadnionym wymaganiom nie wykraczać.

POLONUS

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2, (ENGLAND)

OSTATNI TYDZIEŃ PRZEDPŁATY

PROF. MAREK ST. KOROWICZ

W POLSCE POD SOWIECKIM JARZMEM

CENA SH. 9/-.

PO ZAMKNIĘCIU SUBSKRYPCJI SH. 15/-.

PO ŁEPKACH

CO POWIE O NAS HISTORIA?

Tylko człowiek doskonały, mianowicie doskonale pokorny nie dba o to, co po nim pozostanie na ziemi. I może dlatego po takich ludziach pozostaje najwięcej. Zwykłych ludzi natomiast myśl o przyszłości nie opuszcza. Jeśli się czasem słyszy, zwłaszcza w cechu pisarskim, zdania nabrzmiałe uniżoną pokorą wobec potomności, trzeba to czytać jak anagram, czyli figurę zwaną przez Jana Kochanowskiego „raki", a więc od tyłu. Niezmiernie rzadko raki czytane od tyłu mają to samo brzmienie co czytane zwyczajnie, jak to np. słynne zdanie: „kobyła ma mały bok". Nie bawmy się więc w anagramy: pracujemy dla przyszłości i w nadziei, że gdy bomby wodorowe spustoszą świat, wszystko przepadnie, ale jakimś cudem ocaleje nasz wiersz, nasz felieton, a może nawet cały rocznik ŻYCIA. Jeśli zaś bomby na świat nie spadną, historia otrzyma potężną kolekcję dzieł naszych rąk i umysłów.

Przyjmijmy, że przejdziemy do historii tym drugim sposobem, w masie, i że oprócz roczników ŻYCIA późny wnuk Generała Kukiela i niemniej zapóźniony pociotek Tymona Terleckiego, a więc przyszli Kadłubkowie emigracji powrześniowej zaszyją się w butwiejące roczniki starych czasopism. Taka to już bowiem ironia ludzkiego losu, że do przyszłości i pamięci potomnych na tej ziemi prowadzą mosty nie ze stali i granitu, ale z papieru. „To tylko nieśmiertelne, co na papier wlezie" — jak pisał Wacław Potocki. Papier to nasz jedyny powiernik. Bo nawet pragnąc przechować pamięć o fundatorach i budowniczych katedr, zamków i śpiżowych pomników, wmurowuje się w nie skrzyneczki z papierowymi metrykami, kto budował i kiedy.

Cóż powie papier o naszej emigracji? Gdyby na świat przyszło takie nieszczęście, że późny wnuk musiałby nasze dzieje odczytywać z czasopism krajowych, dowiedziałby się, że po drugiej wojnie światowej w Anglii, Walii i Szkocji, a także w wielu innych krajach, osiadła tzw. emigranda, trudniąca się głównie handlem futer, brylantów oraz kanarków przemyconych przez most zaleszczycki, a złożona z zawodowych pułkowników i agentów amerykańskiego wywiadu. Udało się im też zatrzymać garstkę otumanionych pocztowych osobistych, których czyny — jak twierdzi Jan Dobraczyński — wypełniają łamy kroniki kryminalnej pism londyńskich, paryskich i chicagowskich.

W każdym razie owa emigranda to łotry w wielkim stylu, przestępcy z temperamentem, szczwane lisy szpiegowskie, aferzyści na skalę panamską, zausznicy Wall-Street, przesypujący złote dolary jak zielony groszek, no i — last but not least — podżegacze wojenni. Taki np. Anders jeździ stępa na białym koniu po Hyde Parku i tumani zażywających spaceru lordów okrzykami: „do broni!". Taki Bielecki z nożem w zębach wpada obcesem do parlamentu brytyjskiego wołając: „krwi, i to tej najczerwieńszej, z samego Rokossowskiego!" I kto wie, do czego by doszło, gdyby nie radzieckie zabiegi pokojowe.

Powiedzmy otwarcie, że choć w Kraju nie mamy dobrej prasy, ale tam nas przynajmniej cenią. Karierę zrobić możemy już tylko w prasie warszawskiej. Tylko tam można się ujrzeć za pan brat w towarzystwie Adenauera i Eisenhowera. Tylko po lekturze „Świata" czy „Życia Warszawy" człowiek jeszcze wie, że żyje. Tylko dzięki organom PZPR dusza od czasu do czasu pragnęłaby do dolarowego raju. „Tylko tam" jak mówi piosenka — cenią nas i może nawet odrobinę przeceniają.

Gdyby prasa krajowa pozostała jako jedyny materiał dla historyków, można by przynajmniej kiedyś straszyć dzieci niektórymi z naszych nazwisk.

Biada, jeśli potomność sądzić nas będzie z papierów emigracyjnych! Bo oprócz aktorów, aktorek, śpiewaczek i modystek, otoczonych powszechną i wierną miłością emigracji, ci, co po nas przyjdą, daremnie szukać będą w rocznikach pism emigracyjnych łotrów, szpiegów i aferzystów, gdyż znajdą tylko łotrzyków, łapsów i drobnych malwersantów. Nie doszukają się podżegaczy wojennych, lecz „handlarzy krwią", nie odnajdą polityków, lecz politykierów, nie przeciwników politycznych, lecz obcych najmitów, nie agentów Wall-Street, lecz kondotierów. Takiego bowiem słownika używa się zwyczajnie w emigracyjnej publicystyce politycznej. Kto nie wierzy, niech się przekona i weźmie do ręki pierwsze lepsze polskie pismo polityczne, a zwłaszcza organ tzw. rządu. Tylko złote dolary łaskoczą uszy równie mile przy lekturze prasy komunistycznej jak i czasopism emigracyjnych.

Z perspektywy komunistycznej w Kraju wyglądamy na łotrów-olbrzymów, którymi, jak Madejem, w zwykłych czasach straszy się niegrzeczne dzieci, z perspektywy emigracyjnej natomiast widzimy się nawzajem jako niesforni ochotnicy Legii Cudzoziemskiej.

Nie na tym koniec. Pilny czytelnik dzienników i tygodników emigracyjnych łatwo się dowie, jaka jest (była) twórczość kulturalna emigracji. A więc: Grzybek, Piekiełko, Marynarze; „coś dla Zoś", „Jasia Jasiom", „Lola i Pola", pokaz kapeluszy. Dowie się o fatalnych kobietach emigracji, o niewypowiedzianym wdzięku, czarze i uroku pieśniarek i disesek, o ich kibici i życiu. Dowie się o ogromnej ilości odczytów tych samych prelegentów na wszelkie możliwe tematy; o wiekopomnych audycjach „do Kraju" (tak jakby fale radiowe szły tylko w jedną stronę), o nieśmiertelnej imprezie „do dwudziestu razy sztuka"; o rocznicach, jubileuszach, imieninach; o komitetach uczczenia i koordynacji wysiłków.

Nie dowie się za to z żadnego z pism emigracyjnych, że oprócz niego istnieją jeszcze jakiekolwiek inne pisma. Nie dowie się niczego (lub prawie niczego) o ruchu wydawniczym, o dziełach literackich i naukowych. Odczytom o wspomnieniach myśliwskich hrabiego Habenichts poświęca się całe łamy, o książkach Borowego, Zofii Kossak, Winowskiej, Goetla itd. w całej prasie emigracyjnej (z małymi wyjątkami) głuche milczenie. To milczenie nie jest chwilowe: trwa już latami. Nie jest też przypadkowe, gdyż jest metodyczne i powszechne.

Najdrobniejsza słomka artystyczna przecedzana jest przez reporterów dzienników i tygodników, wielbłądy uchodzą ich uwagi.

Wyglądałoby więc, że do historii przejdzie po moście papierowym emigracji tylko to, co lekkie. Nasuwa się tylko jedna wątpliwość: co będzie, jeśli przyszły historyk nie ograniczy się do roczników czasopism, lecz sięgnie też do bibliotek? Wówczas chyba napisze mniej więcej tak: „Poważnej twórczości nie poświęcano, niestety, uwagi w czasopismach emigracyjnych. Być może dlatego, aby wzmianki o niej nie brzmiały fałszywie wśród muzyki oskarżeń o łapsowanie, sprzedawczykowstwo i kondotierstwo".

Będzie to więc sąd nie o twórczości emigracyjnej, lecz o tych, którzy jej nie umieli i nie chcieli dostrzec.

J. B.

P. S. Wszystkie pisma emigracyjne proszone są o przedrukowanie tego felietonu. Honoraria tylko w złotych dolarach.

Listy do Redakcji

LIST P. ZOFII KOSSAK

Uprzejmie proszę Szanowną Redakcję o zamieszczenie poniższych paru uwag:

W numerze 22 tygodnika ŻYCIE p. Jan Bielatowicz ogłosił artykuł zatytułowany „Dobraczyński", pozostający w związku z wypowiedzią tegoż ostatniego drukowaną w numerze 17 „Tygodnika Powszechnego" z dnia 24 kwietnia br. pod tyt. „Emigranci".

Nie wchodząc na razie w ocenę wymienionego wyżej artykułu, pełnego nienawiści i emocjonalnych a nieścisłych sformułowań — pragnę jedynie sprostować parę szczegółów dotyczących mnie osobiście.

W odpowiedzi na twierdzenie Dobraczyńskiego, że: „Zofia Kossak w ciągu dziesięciu lat emigranckiego życia napisała jedną książkę „Przymierze" — p. Bielatowicz pisze:

„Zofia Kossak... napisała i wydała »W otchłani«, nową wersję »Błogosławionej winy«,— »Przymierze«,— »Kielich krwi« i »Rok polski«. Niemal wszystkie tomy obszerne, kilkusetstronicowe. Na warsztacie ma nową powieść o tematyce biblijnej".

Stwierdzam niniejszym, że i w tym wypadku Jan Dobraczyński jest znacznie bliższy prawdy niż Jan Bielatowicz.

»Z otchłani« napisane było w Kraju, zimą 1944-45 roku. »Błogosławiona wina« jest przeróbką dawnej rzeczy, — »Rok polski« to zbiór pogadanek powstały dzięki temu, że zamówiło je Radio Free Europe w Monachium. »Kielich krwi« stanowi małą broszurkę, której treść zmieściła się w ramach jednej audycji tegoż radia monachijskiego.

Na warsztacie nie mam opowieści biblijnej. Miałam ją, lecz już przed kilku laty zarzuciłam wobec materialnych trudności prowadzenia tej pracy.

Jedną tylko pozycję przeoczyli obaj imiennicy. Jest nią »Oblicze matki«, książka usiłująca odnaleźć linię rozwojową Polski na przestrzeni tysiąca lat. Pisałam ją w roku 1948. Wyrażałam w niej pogląd, że przyczyną nieszczęść Polski był fakt odwrócenia się od Wschodu, miast korzystając z postawienia nas przez Boga na pomoście dzielącym dwa światy, wyciągać życzliwe dłonie zarówno na Wschód jak na Zachód. W wyniku tego błędu zamiast stać się cennym punktem wymiany dóbr materialnych i duchowych, zeszliśmy dobrowolnie do roli oddalonego partykularza Zachodu. Poglądy te okazały się dla umysłów emigracyjnych tak rażące i nieznośne, że książka ukazała się tylko w tłumaczeniu a po polsku nie wyszła wcale.

Nawet jednak dorzuciwszy »Oblicze matki« do »Przymierza«, bilans dziesięcioletni wygląda bardzo ubogo, nie tylko w porównaniu z żywiołową dynamiką Dobraczyńskiego. Cóż robić? Niepotrzebnie p. Bielatowicz unosi się honorem i broni nakładów emigracyjnych. Przecież każdemu wiadomo, że są małe i że nie mogą być większe. A honoraria? Lepiej o nich zamilczeć. Nie zamierzam tu winić wydawców, którzy „robią bokami", podobnie jak autorzy. Winne są warunki towarzyszące nieodłącznie każdej politycznej emigracji. One sprawiają, że autor traktujący poważnie siebie i swą pracę nie może wyżyć z literatury. Jeżeli nie wyciąga dłoni do swoich lub obcych po wsparcie, musi pracować fizycznie i nie widzę powodu, by się tego wstydził.

Ja się w każdym razie nie wstydzę.

Zofia Kossak

Odpowiedź Zofii Kossak

Jan Dobraczyński napisał w swym artykule dosłownie: „Zofia Kossak wydała w ciągu dziesięciu lat emigranckiego życia jedną jedyną książkę »Przymierze«".

W ŻYCIU (nr 22) z 29 maja br. dowiodłem, że Zofia Kossak wydała dotąd w ciągu dziesięciu lat pobytu na emigracji pięć nowych książek. Zofia Kossak temu nie przeczy, uważa jednak za stosowne wyrazić zdanie, że „i w tym wypadku Jan Dobraczyński jest znacznie bliższy prawdy niż Jan Bielatowicz".

Pisząc o Janie Dobraczyńskim zwalczałem jego marksistowską etykę. Z logiką bowiem — jeszcze ciągle — wydaje się on być w porządku. Wątpię zatem, by nawet Dobraczyński mógł twierdzić, że 1 = 5 i że równanie 5 = 5 jest z prawdą niezgodne.

Św. Tomasz z Akwinu pisał: „Prawda jest rzeczą Boską, przyjacielem o wiele doskonalszym niż jakikolwiek przyjaciel człowieka". (Etyka, komentarz, lect. 6) Jeśli się kto szczerze przejmuje prawdą, obowiązkiem jego sumienia jest nienawiść kłamstwa i fałszu. Dumny zatem jestem, że Zofia Kossak w moim artykule o Dobraczyńskim dostrzegła nienawiść.

Nie do Jana Dobraczyńskiego, oczywiście, lecz do głoszonych przez niego fałszywych idej.

Jan Bielatowicz

OKAZJA!

Henryk Sienkiewicz

Stron 512. CENA 16/-

QUO VADIS

Katolicki Ośrodek Wydawniczy VERITAS

12 Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weenkly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (///); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 35, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S.A. **BELGIA:** Mme **E. Kulakowska**, 101, rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. Prenumerata kwart. 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska** Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Księżnica Polska**, Caiqa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks K. Stolarek, D.M.I.**, 29, Av. Gen. Leclerc, La Fertel-sous-Jouarre, (S. et M.). Prenumerata kwart. 540 frs. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 13 oraz **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296, Sheridan Ave., Albany, N. Y., **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich oraz **Mme. J. Stojanowska**, 424, Ave. „E", Bayonne, N. J. oraz **„Pomoc" — Eksport — Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N. Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Revinkegatan 13B. Prenumerata kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme. Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.